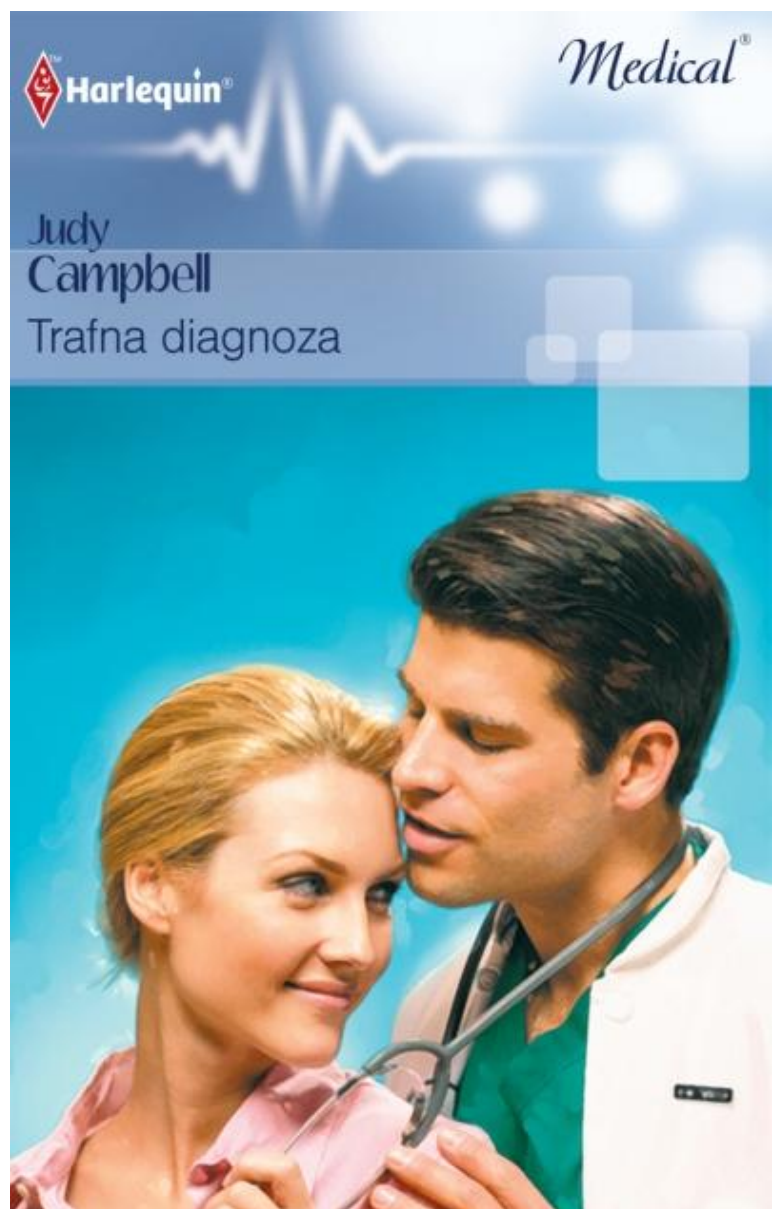




JUDY CAMPBELL

TRAFNA DIAGNOZA

Tytuł oryginału: Reunited: A Miracle Marriage



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Nie dość, że w audytorium panowała duchota, to wykład z kardiologii był wyjątkowo monotony.

Sally Lawson, która siedziała obok swojej koleżanki Jean Cornwell, stłumiła ziewnięcie i stwierdziła z rozbawieniem, że kilka osób w sali ucięło sobie drzemkę. Obawiała się, że jeszcze chwila i ona też będzie musiała się poddać w nierównej walce z sennością. Z nudów zaczęła się rozglądać, czy nie wypatrzy w tej sali jakichś znajomych.

Na widok mężczyzny siedzącego kilka rzędów niżej, a właściwie na widok tyłu jego głowy, gwałtownie ocknęła się z letargu. Nie, to przecież niemożliwe...

Z niedowierzania aż zamrugła powiekami, po czym wychyliła się lekko, by mu się przyjrzeć. Jednak podobieństwo było tak uderzające, że mogłaby przysiąc, że to jest Jack McLennan, facet, którego kiedyś kochała. Kasztanowe gęste włosy, szerokie ramiona.

Ale to przecież niemożliwe, bo Jack od kilku lat mieszka w Australii, gdzie na pewno zrobił wielką karierę, pomyślała z ironią. Był miłością jej życia, ostatni raz widziała go sześć lat temu. To wtedy jej oznajmił, że ją zostawia, bo chce się poświęcić wyłącznie sprawom zawodowym. Dla niej to był grom z jasnego nieba. Ich namiętny związek trwał rok, przed rozstaniem planowali nawet małżeń-

stwo. Myślała, że zna Jacka, do głowy jej nie przychodziło, że może ją tak potraktować.

- Skoro najczęstszym czynnikiem powodującym choroby układu krążenia jest nadciśnienie, mam nadzieję, że nie muszę państwa przekonywać, jak ważna jest jego profilaktyka, diagnostyka i leczenie.

Głos profesora przywołał Sally do rzeczywistości. Ludzie z ulgą podnosili się z miejsc i pospiesznie ruszali do wyjścia. Wśród nich był ten mężczyzna, który tak przykuł jej uwagę, a teraz wdał się w pogawędkę ze swym sąsiadem. Roześmiał się głośno, zupełnie jak Jack, lekko przechylając głowę. Ten serdeczny śmiech przypomniawszy jej, jak wiele było radości w ich związku.

Spakowała notatki do torby, po czym razem z Jean wyszły na korytarz. Nie zamierza zwracać sobie głowy facetem podobnym do Jacka. I nie będzie rozmyślać o romansie sprzed lat. Tamten rozdział jej życia został dawno zamknięty. Przecież zaręczyła się i wkrótce wychodzi za mąż.

- O której chciałabyś jutro wyruszyć z Glasgow? - zapytała Jean, ale nie doczekawszy się odpowiedzi, klepnęła ją w ramię. - Hej, pobudka!

- Och, przepraszam, trochę się zamyśliłam. - Sally oderwała wzrok od sobowtóra Jacka. - Przez chwilę wydawało mi się, że jest tu pewien mężczyzna, z którym kiedyś pracowałam. Ale to było złudzenie, bo on od lat mieszka za granicą. O co pytałaś?

- O której chciałabyś wracać jutro do Crachan? Rano jest jeszcze jeden wykład, aleja chcę wyjechać stąd zaraz po śniadaniu. Ty możesz zostać dłużej, bo na pewno znajdzie się ktoś, kto mnie podrzuci do domu.

- O chorobach serca dowiedziałam się wszystkiego, co trzeba, więc urwiemy się razem - odparła, wciąż śledząc wzrokiem stojącego teraz do niej tyłem faceta.

Kiedy odwrócił głowę, zamarła. Rany boskie! To nie było złudzenie, to naprawdę Jack! Ma przed sobą człowieka, z którym przeżyła romans swego życia. Człowieka, który sześć lat temu zostawił ją w rozpacz, zrywając z nią tak nagle i okrutnie.

Ich spojrzenia spotkały się na sekundę. Jack uniósł brwi ze zdumienia, po czym ruszył w jej stronę, torując sobie drogę w tłumie. Zastygła jak skamieniała, zastanawiając się, czy to nie sen, ale gdy po chwili zobaczyła z bliska znajome chabrowe oczy...

- O mój Boże, kogo ja widzę! Witaj, Sally!

Jego niski ciepły głos obudził w niej falę wspomnień. Wspomnień całkowicie niestosownych, zważywszy na to, że jest zaręczona. Pierwszego pocałunku, tańca w objęciach, jego dotyku i pieszczot... Przełknęła ślinę, przywołując się do porządku. Musi zachować zimną krew. Przecież ją zostawił, zerwał z nią, a potem nie dawał znaku życia, nie pisał, nie dzwonił, nie wysyłał nawet kartek na Boże Narodzenie. Nie wolno jej zapominać, jak ją potraktował.

- Cześć - powiedziała chłodno. - Co ty tu robisz? Myślałam, że mieszkasz w Australii.

- Sally, Sally Lawson! Co za niespodzianka! Ale pewnie już nie nosisz panieńskiego nazwiska?

- Wciąż nazywam się Lawson. Co u ciebie słychać, Jack?

- Wszystko dobrze. Przez chwilę nie byłem pewien, czy to ty, bo zmieniłaś fryzurę. W każdym razie świetnie wyglądasz z krótkimi włosami.

Bardzo wysoki, wciąż zabójczo przystojny, o smukłej sylwetce sprintera. Nie licząc drobnych zmarszczek w kącikach oczu i lekkiej siwizny na skroniach, w ogóle się nie zmienił, pomyślała, przyłapując go, jak zerka na jej pierścionek zaręczynowy z ogromnym brylantem. Tim ma gest i w najlepszej wierze lubi to okazywać. Ten pierścionek jednak czasem ją krępował, bo był chyba trochę zbyt ostentacyjny. Odnosiła wtedy wrażenie, że nosząc go, komunikuje całemu światu: Spójrzcie na mnie, mój narzeczony to nie byle kto!

- Widzę, że się zaręczyłaś.

- Tak. Za kilka tygodni wychodzę za mąż.

Przez chwilę chciała go spytać, czy się ożenił, ale z tego zrezygnowała, bo w końcu co ją to obchodzi. Lepiej będzie trzymać się spraw zawodowych.

- Co cię sprowadza do Glasgow? Myślałam, że jesteś zajęty karierą w Australii. Na pewno osiągnąłeś tam wielkie sukcesy.

- To prawda, w Australii wiodło mi się całkiem dobrze. Ale niedawno zmarła nagle moja matka, a ja przyjechałem na pogrzeb i postanowiłem tu zostać ze względu na młodszego brata. Liam dopiero rozpoczyna studia, więc uważam, że nie powinien być zupełnie sam.

- Och, bardzo mi przykro z powodu śmierci twojej mamy.

Choć była z Jackiem przez rok, nie miała okazji poznać jego rodziców. Wiedziała tylko, że mieszkają na wsi w górzystym regionie północnej Szkocji. Nagle

Sally zdała sobie sprawę, że koleżanka stoi tuż obok i czeka na nią cierpliwie, powiedziała więc zmieszana:

- Strasznie cię przepraszam, Jean, to jest Jack McLennan... mój dawny kolega. Sześć lat temu razem odbywaliśmy staż w szpitalu Saint Mary. Jack, to jest Jean Cornwell, moja partnerka, z którą prowadzimy gabinet medycyny rodzinnej w miasteczku Crachan na zachodnim wybrzeżu.

- Obie z Sally z przyjemnością wyskoczyłyśmy na dwa dni do Glasgow, żeby na tym szkoleniu podciągnąć się z kardiologii - powiedziała Jean.

- A ja po powrocie z Australii stałą pracę dostanę dopiero jesienią. Przez najbliższe miesiące będę więc, tak jak w tej chwili, pracował na zastępstwach. Właśnie szukam kolejnego...

- Słyszysz, Sal? - powiedziała Jean z uśmiechem. - Nie uważasz, że być może znalazłyśmy rozwiązanie naszego problemu?

- Nie, nie sędzę, żeby Jacka zainteresowała nasza oferta - odparła Sally nerwowo.

- A to niby dlaczego?

- Bo siedzimy przecież w małej dziurze... - zaczęła, ale ugryzła się w język.

Właściwie co mnie to obchodzi, pomyślała. Ważne jest tylko to, czy on sprawdziłby się w pracy. Przecież dla mnie on od dawna nic już nie znaczy.

- W czym rzecz? - zapytał Jack, spoglądając na nie. - Szukacie kogoś do pracy?

- Tak - odparła Jean. - Chcę na trzy miesiące wyjechać do Nowej Zelandii, żeby pomóc siostrze w opiece nad dziećmi. Ma ich dwójkę na głowie, bo jej mąż po wypadku samochodowym leży w szpitalu, a ona jest w zaawansowanej ciąży. Sally nie poradzi sobie sama z nawałem obowiązków, a dorywcza pomoc lekarzy z naszej okolicy, moim zdaniem, nie wystarczy. W każdym razie miło było cię poznać, Jack. A to są w razie czego nasze zamiary - powiedziała, podając mu wizytówkę.

Że też w ostatniej chwili zdecydowałem się na udział właśnie w tej konferencji, pomyślał Jack, odprowadzając je wzrokiem. Na ten weekend równie dobrze mogłem pojechać do przyjaciół w Londynie albo wybrać się w góry. I kto by przypuszczał, że na widok Sally przeżyjesz taki wstrząs. Z krótko przyciętymi włosami wygląda wprost olśniewająco, jej ciemnoszare oczy wciąż zwalają z nóg. Przecież sześć lat temu miałeś się z nią ożenić i gdyby nie to, co się stało niezależnie od ciebie, ona byłaby twoją żoną.

Zamyślony wolno ruszył do wyjścia. Uświadomił sobie, że musi z nią zerwać, i tak się złożyło, że powiedział jej o tym na dorocznym balu dla pracowników szpitala. Ubrana w jasnoniebieską suknię z jedwabiu wyglądała tego dnia wyjątkowo pięknie, a on do dziś nie mógł zapomnieć o niedowierzaniu, jakie odmalowało się na jej twarzy, kiedy usłyszała, że postanowił wyjechać z powodów zawodowych.

- Och, nie żartuj sobie - powiedziała wesoło, zarzucając mu ręce na szyję. - Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo!

Ale gdy on nie reagował, próbując trzymać emocje na wodzy, zrozumiała, że mówi poważnie. Przez chwilę spoglądała na niego w osłupieniu, potem z jej oczu popłynęły łzy. Gdy na to patrzył, kroiło mu się serce, ale nie chciał robić jej żad-

nych złudzeń. Jednocześnie nie był w stanie wyjaśnić prawdziwych powodów swej decyzji.

Tak, to prawda, w Australii odniósł zawodowe sukcesy. Pracy oddał tam całą duszę i serce, za wszelką cenę próbując zapomnieć o Sally i o koszmarze, jaki wydarzył się w jego rodzinie. Chciał zapomnieć o własnym ojcu, agresywnym alkoholiku, który terroryzował najbliższych.

Przygnębiony poszedł do recepcji po klucz. Wieczorem umówił się na kolację z dawnymi znajomymi, których spotkał na konferencji, ale z samego rana stąd wyjedzie. I po raz drugi zniknie z życia Sally. Jest zaręczona, a do tego w czasie tej krótkiej rozmowy spoglądała na niego z wyraźną niechęcią.

- No to, Sally, opowiedz mi o Jacku - powiedziała Jean w zadymionej knajpce.
- Pracowaliście razem, ale odniosłam wrażenie, że na jego widok mocno się nastroszyłaś. Chyba się nie mylę, że za nim nie przepadasz?
- Jest dobrym lekarzem, co do tego nie mam cienia wątpliwości. Pełnym poświęcenia i ambitnym.
- Więc może warto by go u nas zatrudnić? Masz coś przeciwko temu?
- Szczerze mówiąc... przed jego wyjazdem trochę się poróżniliśmy.
- Ale przecież to dawne dzieje, nie kontaktowaliście się od dobrych paru lat. Muszę przyznać, że na mnie Jack robi wrażenie sympatycznego. I do tego wygląda rewelacyjnie. Aż mi się nie chce wierzyć, że nie zawrócił ci w głowie.

- Nie ma kobiety, której Jack McLennan nie za- wróciłby w głowie - odparła, siląc się na obojętność. - Szkoda o nim gadać, zwłaszcza że chciałabym jeszcze pobiegać przed kolacją - ucieła, podnosząc się z miejsca.

Po powrocie do pokoju poszła prosto do łazienki. Godzina biegania w parku dobrze jej zrobiła i teraz marzyła tylko o prysznicu. Na widok Jacka przeżyła szok. Nie, przywołała się do porządku, to nie był szok, raczej niespodzianka. Ale nie będzie rozdrapywać dawnych ran, zresztą na kilka tygodni przed ślubem ma na głowie ważniejsze sprawy. I powinna cieszyć się życiem. Wprawdzie zamiast hucznego wesela wolałaby kameralną uroczystość, ale Timowi zależało na tym, by na wesele zaprosić mnóstwo ludzi, bo, jak ją przekonywał, to mu pomoże umocnić pozycję towarzyską.

Ciepły strumień wody podziałał na nią kojąco. Po wyjściu z kabiny owinęła głowę ręcznikiem i włożyła szlafrok kąpielowy. Pomyślała, że zaparzy sobie herbatę i zdąży jeszcze obejrzeć wiadomości przed kolacją. Gdy sięgała po komórkę, by zadzwonić do Tima i powiedzieć mu, że do domu wraca jutro około południa, rozległo się pukanie do drzwi. To na pewno obsługa, pomyślała.

- Tak, słucham? - zawołała, nie otwierając drzwi.

To ja, Jack. Mam dla ciebie wiadomość.

Co on tu robi, do jasnej cholery? Przez sześć lat nie dawał znaku życia, a teraz myśli, że może ją nachodzić w pokoju hotelowym! Przyglądziła połty szlafroka i w drodze do drzwi przelotnie spojrzała w lustro. Nie ma ochoty oglądać tego faceta, bo po prostu on jej kompletnie nie interesuje.

Choć nie chciała tego przyznać, została jednak wytrącona z równowagi. Do tego nie była ubrana i miała głowę owiniętą ręcznikiem. Może kiedyś byłoby cudownie przyjąć Jacka w takim stroju, ale to już przeszłość. On wyraźnie szuka pretekstu, by z nią powspominać dawne czasy, ale z kimś, kto okazał się takim draniem, ona nie będzie się wdawać w żadne pogawędki.

- Co to za wiadomość? - zawołała.

- Mam dla ciebie list od Jean Cornwell.

- Nie rozumiem, dlaczego Jean korzysta z twojego pośrednictwa?

- Nie miała czasu, żeby cię złapać, bo stało się coś nagłego. Wyjaśnia ci to właśnie w tym liście, więc otwórz, proszę.

- Dobrze - powiedziała Sally z niepokojem.

- Widzę, że jestem nie w porę - powiedział, zerkając na jej ubiór.

Ciekawe, czy on pamięta ten dzień sprzed lat, w którym oznajmił jej zimno, że odchodzi. A może to był dla niego jedynie nieistotny epizod? Może go wyrzucił z pamięci? Tym bardziej, że na pewno miał później wiele romansów.

- Wiesz, o co chodzi? - zapytała, otwierając kopertę.

- Tak. Natknąłem się na Jean przypadkowo w holu. Właśnie dostała wiadomość, że jej siostra z powodu poważnego zagrożenia ciąży leży w szpitalu. Dziećmi na razie zajęli się sąsiedzi, ale to prowizorka. Jean dzwoniła do ciebie na komórkę, ale nie odbierałaś.

- O Boże! Biedna Jean pewnie umiera z niepokojem!

- Posłuchaj, ona chce jak najszybciej polecieć do Nowej Zelandii i jest już w drodze na lotnisko. Ale martwi się też, jak ty sobie poradzisz w czasie jej nieobecności. Dlatego bardzo mnie prosiła, żebym wziął to zastępstwo. Sądzę, że pewnie ci o tym napisała.

- Zawsze mogę zwrócić się o pomoc do okolicznych lekarzy, więc nie ma powodu, żebyś robił sobie kłopot.

- Jean do nich dzwoniła, ale okazało się, że na razie nikt z nich nie dysponuje czasem. Oczywiście, to ty musisz podjąć decyzję w tej sprawie. Jeśli uznasz, że możemy razem pracować, jestem gotów jechać do Crachan.

- Muszę się zastanowić - powiedziała w przypiływie nagłej irytacji.

Niby dlaczego on sobie wyobraża, że miałaby się przejmować jakąś historią sprzed lat? Przecież ma narzeczonego i wkrótce wychodzi za mąż. Teraz musi po prostu znaleźć kompetentnego lekarza, który jej pomoże.

List od Jean był krótki: „Strasznie mi przykro, że cię zostawiam tak nagle, ale Gail wylądowała w szpitalu z poważnymi komplikacjami ciąży, a ich sąsiedzi, którzy zajęli się dziećmi, proszą, żebym możliwie szybko przyjechała. Jeszcze dziś wieczorem lecę więc do Londynu, gdzie mam nadzieję złapać samolot do Nowej Zelandii. Czy w tej sytuacji możesz przez kilka tygodni pracować z Jackiem? Jest kompetentnym lekarzem i może zacząć od zaraz, ale uzależnił to za-
stępstwo od twojej zgody. Wiem, że samej byłoby ci bardzo trudno, więc będzie mi lżej, jeśli skorzystasz z jego pomocy. Bardzo cię proszę o wiadomość, czy się na niego zdecydowałaś. Ściskam, Jean”.

Sally schowała kartkę do kieszeni. To prawda, potrzebuje pomocy, a Jack jest dobrym lekarzem.

- Jeśli masz do mnie żal, nie chciałbym cię stawiać w kłopotliwej sytuacji.
- Żal? Już dawno zdążyłam o tobie zapomnieć.
- No właśnie. Przecież się zaręczyłaś. Kiedy będzie ślub?
- Za dwa miesiące. Potrzebujemy zastępstwa także dlatego, że wyjadę na tydzień w podróż poślubną.
- Tylko na tydzień? Na jego miejscu chciałbym z tobą pojechać na dłużej.
- Tim ma teraz bardzo gorący okres w swojej firmie.
- Jest biznesmenem?
- Tak - ucieła, nie mogąc jednak odpędzić myśli, że dla Tima najważniejsza w życiu chyba jest kariera. - Przejdźmy do rzeczy...

I po tych słowach ogarnął ją niepokój. Czy rzeczywiście będzie w stanie pracować z człowiekiem, który kiedyś tak wiele dla niej znaczył? Wzięła głęboki oddech. Nie ma wyboru, więc musi na to przystać, skoro przez kilka tygodni bezskutecznie szukały kogoś na zastępstwo.

- Sądzę, że do powrotu Jean, przez miesiąc czy dwa, będziemy musieli jakoś się tolerować.

- Wierzę, że nam się uda. Kiedy mam zacząć?

- Pojutrze. W międzyczasie załatwię ci lokum. - Na chwilę zawiesiła głos. - Nie wiem, czy masz rodzinę, bo mieszkanie, o którym myślę, nie nadaje się dla dzieci.

- Nie dorobiłem się ani dzieci, ani żony. Mam tylko osiemnastoletniego brata, który studiuje w Glasgow.

Nie założył rodziny, bo myśli tylko o karierze, pomyślała z przekąsem. Związał przed związkami i ma za swoje.

- Na wizytówce, którą dostałeś od Jean, jest nasz adres. Do Crachan jedzie się około godziny.

- A więc do zobaczenia - powiedział cicho.

Po wyjściu uśmiechnął się gorzko. Nie będzie sobie robił żadnych złudzeń. Sally z trudem go znosi, a do pracy przyjęła go wyłącznie z konieczności. Choć w pierwszym odruchu chciał znowu zniknąć z jej życia, tym bardziej że ona jest zaręczona. Z drugiej strony nigdy nie przestał jej kochać, toteż możliwość bycia blisko niej okazała się dla niego nie do odparcia. Ale jego sytuacja osobista nie uległa zmianie, zauważył ze smutkiem. Mimo że ją kochał, wciąż nie wolno mu marzyć o związku czy wspólnej przyszłości. Nic się nie zmieniło, skoro na myśl o prawdziwym powodzie swojej samotności ogarnia go nie mniejsza zgroza niż kiedyś.

Sally usiadła w pokoju przed lustrem. Była blada, miała spierzchnięte usta, a serce jej waliło jak oszalałe. Uznała, że to wszystko na pewno ze zmęczenia. Powinna się cieszyć, że znalazła kompetentnego lekarza. I co z tego, że kiedyś była związana z tym człowiekiem? To przecież nie ma znaczenia, tyle tylko, że będzie musiała trzymać go na dystans.

ROZDZIAŁ DRUGI

Sally stanęła przy oknie gabinetu, by popatrzeć na morze, na majaczącą na horyzoncie wysepkę Hersa. Białe grzywy fal odbijały się miarowo od skalistego brzegu. Nie umiała opanować zdenerwowania w oczekiwaniu na przyjazd Jacka, choć upominała się w duchu, że nie ma po temu żadnych powodów.

Będzie go trzymać na dystans, bo przecież jest jej całkowicie obojętny. Jeśli niespodziewane spotkanie po latach na chwilę wytrąciło ją z równowagi, rozpacz i nienawiść, jakie w niej budził po rozstaniu, należą już do przeszłości. Ale mimo wszystko będzie musiała się przyzwyczaić do tego, że przyjdzie jej pracować z człowiekiem, który ją tak straszliwie zawiódł.

Po rozstaniu nauczyła się z czasem żyć bez niego, ale był to proces długi i bolesny. Czowała się samotna i odrzucona. Miała potem kilka przelotnych romansów, ale żadnym z partnerów nie zainteresowała się poważnie. Choć bardzo pragnęła stałego związku, a w jej środowisku było mnóstwo szczęśliwych par, stopniowo pogodziła się jednak z tym, że jest singielką.

Ale przed kilkoma miesiącami poznała Tima Langleya, informatyka z Glasgow, który stworzył z niczego własną, świetnie prosperującą firmę. Tim zdążył się już wyszumieć i teraz chciał się ożenić, a Sally stanowiła idealną kandydatkę na żonę. Piękna, odnosząca sukcesy i mająca koneksje towarzyskie.

Poznali się przez jej ojca, którego kancelaria adwokacka obsługiwała firmę Tima. Pan Lawson, który jako wybitny prawnik był człowiekiem znanym i szanowanym w Glasgow, podziwiał ambitnego Tima za niestrudzoną pracowitość i sekundował jego związkowi z Sally. Rodzice, zmartwieni tym, że po zerwaniu z Jackiem córka pogrzyżała się w depresji, życzyli jej, by znów odnalazła miłość i związała się z kimś na stałe.

Tim i Sally poznali się na przyjęciu zaaranżowanym przez jej ojca. Szybko zaprzyjaźnili się i zaczęli razem bywać. Pasowali do siebie, czuli się z sobą dobrze, więc wszyscy życzyli im, by ta znajomość przerodziła się w trwały związek. A oni, jeśli nawet zdawali sobie sprawę, że może w ich relacji nie ma szaleńczej namiętności, postanowili się pobrać. Po zaręczynach Sally wpadła w wir przygotowań do wesela.

Za dwa tygodnie czekała ją ostatnia przymiarka sukni ślubnej. Czuła się odrobinę nieswojo z powodu kosztów tej kreacji, ale ujęło ją, gdy Tim oznajmił stanowczo, że jego małżonka musi mieć wszystko, co najlepsze.

Zerknęła na zegarek i z lekkim westchnieniem usiadła do komputera. Przyjęcia pacjentów zaczyna ma trochę czasu, by nadrobić korespondencję z miejscowym szpitalem.

Gdy po chwili Joyce Farquahar zadzwoniła do niej z recepcji, by oznajmić, że przyszedł doktor McLennan, przez moment czuła panikę, ale opanowała się szybko i powiedziała:

- Dzięki, Joyce. Wprowadź go, proszę. I gdybyś zechciała zaparzyć nam kawy, byłabym bardzo wdzięczna.

- To potrwa - odparła Joyce, nie bawiąc się w konwenanse - bo muszę najpierw rozesłać zawiadomienie o szczepieniach.

Sally uśmiechnęła się pod nosem. Joyce jest świetną pracownicą, ale nie grzeszy nadmiarem uprzejmości.

Po minucie usłyszała delikatne pukanie do drzwi i w progu stanął Jack: opalony, wysoki, w dobrze skrojonym ciemnym garniturze. On bez wątpienia ma klasę, pomyślała. Gdy tak spoglądał na nią z radosnymi iskierkami w oczach, poczuła, jak serce jej zamiera. Ale dość tego, przywołała się do porządku, nie daj się nabrać, wiesz świetnie, do czego jest zdolny ten facet! Ciekawe, ile jeszcze kobiet tak potraktował!

- Bardzo się cieszę, że będziemy razem pracować - powiedział z szerokim uśmiechem.

- Mamy ścisły podział obowiązków, więc przejmiesz tymczasowo pacjentów, których prowadzi Jean - odparła chłodno.

- Ty tu rządzisz - zgodził się bez dalszych pytań. Trudno się dziwić, że Sally nie próbuje się zaprzyjaźnić. Przecież z jej punktu widzenia ją zawiódł, w jej oczach był facetem, który najpierw pozwalał jej wierzyć, że mają przed sobą wspólną przyszłość, a potem tak okrutnie ją zawiódł. Nic dziwnego, że go znieubiła. Uważał wtedy, że będzie dla niej najlepiej, jeśli uzna go za bezdusznego drania, o którym powinna jak najszybciej zapomnieć.

Po rozstaniu nie przestawał o niej myśleć. A teraz, gdy na nią patrzył, gdy widział jej wielkie szare oczy, błyszczące włosy i zgrabną sylwetkę w eleganckim

granatowym kostiumie, wiedział, że wciąż ją kocha. Ale jest za późno. Nawet gdyby dziś mógł jej zaproponować stały związek, ona wkrótce wychodzi za mąż.

- Usiądź, proszę, bo musimy omówić parę spraw - powiedziała. - A potem pokażę ci twoje lokum, tutaj, na piętrze nad naszymi gabinetami. Mieszkanie jest niewielkie, ale świeżo po remoncie.

- Bardzo się cieszę, że będę miał tak blisko do pracy. Ty też gdzieś tutaj mieszkasz?

- Mam niewielki domek na obrzeżach miasteczka.

- A to jest twój narzeczony? - Spojrzał na zdjęcie stojące na biurku.

- Tak. Tim mieszka w Glasgow. Widujemy się w weekendy: albo ja jeżdżę do miasta, albo on mnie odwiedza. Ale wracając do spraw zawodowych, mamy pod opieką około sześciuset pacjentów, a poza tym dzielimy się dyżurami nocnymi z dwoma gabinetami na wybrzeżu. Raz w tygodniu będziesz więc jeździł do nagłych wezwań. Mam nadzieję, że to dla ciebie nie problem.

- Jestem na to przygotowany - odparł, wyglądając przez okno. - Masz stąd bardzo malowniczy widok. Czy mieszkańcy tej wyspy też leczą się u nas?

- Tak, na Hersę kursuje prom, ale gdy morze jest zbyt wzburzone, w nagłych przypadkach latamy tam helikopterem.

Joyce z tacą wkroczyła do gabinetu.

- Proszę, przyniosłam kawę, ale nie mamy cukru. Jak przyjdzie Sharon, poproszę ją, żeby skoczyła do sklepu.

Pogodna Sharon, druga recepcjonistka, zaczytywała się nałogowo w pismach dla kobiet.

- Joyce, to jest Jack McLennan, który zastąpi Jean.

- Bardzo mi miło - rzekł z promiennym uśmiechem, zrywając się z krzesła. - Mam nadzieję, że dzięki tobie jakoś tutaj nie zginę.

- Możesz na mnie liczyć - odparła Joyce, a Sally z rozbawieniem zauważyła, że Jack potrafi rozbroić każdą kobietę.

Całe szczęście, że ona nie da się już nabrać na jego sztuczki! Na nią to nie działa!

Zdażyła pokazać Jackowi szafę z dokumentacją medyczną, gdy znad morza dobiegły ich głośnie krzyki.

- Mój Boże! - zawołał Jack, który podbiegł do okna. - Ktoś walczy z falami, a dziewczynka stojąca na brzegu wzywa pomocy.

Bez chwili namysłu wybiegł z pokoju, a Sally po sekundzie ruszyła za nim.

- Joyce, wezwij pomoc, mamy wypadek! - krzyknęła w przelocie, wypadając na schody.

Kiedy dobiegła na brzeg, ugięły się pod nią nogi.

Kilka metrów od skalistego brzegu z rozszalałymi falami walczyli mężczyzna i pies. Dziewczynka stojąca na klifie krzyczała rozpaczliwie. Jack, który zdążył już zrzucić garnitur, szykował się do skoku.

- Wszystko będzie dobrze, kochanie! – zawołała Sally, łapiąc małą w objęcia.

- Ratujcie dziadka i psa! - krzyczało dziecko. Po dłuższej chwili zdołała odciągnąć ze skały szamocącą się dziewczynkę i zaprowadzić ją do gabinetu.

- Joyce! Zajmij się nią, proszę, a ja wracam na brzeg. Może się tam na coś przydam.

- Nie skacz, poczekaj! - krzyknęła potem do Jacka. - Spróbuję skombinować linę!

- Nie ma czasu! Dam sobie radę!

Sally wstrzymała oddech, gdy Jack, z trudem pokonując fale, płynął w stronę mężczyzny i jego psa. W pobliżu nie było żywej duszy. Jednak gdy po chwili dostrzegła nadjeżdżającą furgonetkę, pomachała, żeby ją zatrzymać.

- Co się stało? - spytał zwalisty mężczyzna w kombinezonie roboczym.

- Mężczyzna i pies nie mogą dopłynąć do brzegu. Ma pan jakąś linę, żeby mu rzucić?

- Tak, chwileczkę.

Mężczyzna wyciągnął z bagażnika sznur, przywiązał jego koniec do barierki na skale, błyskawicznie zrzucił kombinezon, po czym trzymając drugi koniec sznura, skoczył do wody. Po chwili zebrało się parę osób patrzących w napięciu na dwóch mężczyzn walczących z falami, by dopłynąć do dziadka dziewczynki.

Jack był dobrym pływakiem, ale zanim zdołał dotrzeć do tonącego, minęło kilka długich minut. Krzyczący z przerażenia mężczyzna chwycił go kurczowo za szyję. Sally, zaciskając z całej siły dłonie na barierce, modliła się w duchu, by kierowca z liną podpłynął do nich jak najszybciej. We dwóch z ogromnym trudem zdołali zawiązać pętlę pod pachami opadającego z sił człowieka, a ludzie na brzegu zaczęli ciągnąć linę.

Mężczyzna cały czas krzyczał, ale ryk fal zagłuszał jego głos. Kiedy Jack zaczął płynąć w stronę psa, ludzie wydali okrzyk przerażenia.

- Nie rób tego! - krzyknęła Sally. - Wracaj, bo utoniesz!

On, rzecz jasna, jej nie słyszał, płynąc z wysiłkiem po zwierzaka. Jakimś cudem zdołał go wreszcie złapać za obrożę i doholować do skał. Sally, nie zważając na ryzyko, że może się pośliznąć, pochyliła się nad krawędzią, by złapać psa, podczas gdy Jack i kierowca wyciągali na brzeg mężczyznę.

Udało się, pomyślała z ulgą, zostali uratowani. Była mokra od stóp do głów. Jack, który stał o krok od niej, z trudem łapał oddech. Gdy spojrzał na nią, czując, że zerka na niego ukradkiem, szybko odwróciła wzrok.

Zamiast się gapić na jego umięśnione ciało, lepiej zajmij się tym ledwie odartowanym człowiekiem, przywołała się do porządku. W liczącym ponad siedemdziesiąt lat mężczyźnie leżącym na jakiejś podłożonej mu kurtce rozpoznała pacjenta swego gabinetu. Miał płytki oddech, zwolnione tętno, sine usta.

- Panie Brody - powiedziała, próbując nawiązać z nim kontakt. - Zanim przyjedzie karetka, spróbujemy pana trochę rozgrzać. Przynies od nas koce i termos z ciepłą kawą, niezbyt gorącą – poleciała Sharon, która właśnie dołączyła do zgro-

madzonych ludzi. - Wszystko będzie dobrze - dodała, zwracając się do swego pacjenta.

- Pies? - zapytał mężczyzna z ogromnym trudem. - Co z psem? I gdzie jest moja wnuczka?

- Psu nic nie będzie, a wnuczka jest u nas w gabinecie.

To nie był odpowiedni moment, by powiedzieć Callumowi Brody'emu, że próbując samemu ratować psa, postąpił bardzo lekkomyślnie.

Sygnal karetki dobiegł ich z oddali, po chwili nadbiegli ratownicy.

- Co się stało, doktor Lawson? - spytał jeden z nich.

- Pan Callum Brody, który jest naszym pacjentem i ma, o ile pamiętam, siedemdziesiąt trzy lata, po dłuższym przebywaniu w wodzie jest osłabiony i mocno wyziębiony.

- Przynies z karetki koce, żeby okryć pacjenta i tych dwóch panów - ratownik zwrócił się do kolegi, wskazując na Jacka i kierowcę furgonetki. - Pani też jest cała mokra i drży z zimna.

Sally, która trzęsła się także z nadmiaru emocji, z ulgą owinęła się przyniesionym kocem.

- Grunt, że wszystko się dobrze skończyło - powiedział Jack.

- Całe szczęście, ale nie powinieneś tam skakać bez asekuracji - odparła. - A teraz wsiadaj do karetki, ty też pojedziesz na badania do szpitala.

- Nie ma mowy. Szybko się rozgrzeję. Muszę tylko przebrać się na gorze w suche ubranie.

- Powinieneś...

- Nie ma mowy - przerwał jej. – Przyjechałem do pracy i nie zamierzam jeździć do żadnego szpitala.

Ratownicy przenieśli Calluma do karetki, po czym próbowali namówić Jacka i Desa, kierowcę furgonetki, by zabrali się z nimi. Ale obaj odmówili stanowczo, a Des dodał, że rozgrzeje się w domu.

- Jeśli uważasz, że trzeba mnie zbadać, z przyjemnością ci na to pozwolę, bo w końcu jesteś lekarzem - dorzucił Jack wesoło, a ona nie umiała pohamować uśmiechu.

Trzeba przyznać, pomyślała, że nie brak mu brawury. Gdyby nie on, Callum mógłby utonąć. Ktoś podał mu ręcznik i Jack szybko zawiązał jej turban na głowie.

- Jesteś cała mokra, powinnaś się jak najszybciej przebrać - dodał, masując jej kark.

Co za rozkosz, przyznała w duchu. Zadrzała, może z zimna, a może dlatego, że już dawno zapomniała o jego dotyku. Przez chwilę miała wrażenie, że czas się cofa, że znów jest jak kiedyś, a on ją przytula.

Zagryzła wargi, upominając się w duchu, że ten facet ją zawiódł. Mówił, że ją kocha, ale kłamał. Odsunęła się od niego gwałtownie. Dlaczego na sekundę się zapomniała? Przecież on musi wiedzieć, że w jej sercu nie ma dla niego miejsca.

- Idź się ogrzać - powiedział z uśmiechem, kładąc jej dłonie na ramionach.
- Masz rację. Powinniśmy się przebrać, za chwilę zaczynamy dyżur.

Siedząca w recepcji Joyce lekko uniosła brwi, widząc ich owiniętych w koce, po czym rzuciła:

- Włóżcie suche ciuchy, bo się rozchorujecie. W poczekalni jest już parę osób. Aha, Sally, u ciebie w gabinecie siedzi twój narzeczony. Mówiłam mu, że był wypadek, ale nie dał się spławić. Ma jakieś ważne sprawy.

Przemknęło jej przez myśl, że przyszedł nie w porę: ona musi się przebrać, czekają na nią pacjenci. Ale na tym właśnie polega urok Tima. Rozpiera go energia i niczego nie umie odłożyć na później.

Kiedy weszli z Jackiem do jej gabinetu, Tim, który rozmawiał z kimś przez komórkę, powiedział, że musi kończyć, po czym się rozłączył.

- Jesteś wreszcie, kochanie! Od samego rana próbowałem się do ciebie dozwonić i w końcu dowiedziałem się od Joyce, że był jakiś wypadek. Co się stało? Boże, jesteś cała mokra! Nie mów mi, że ty też wskoczyłaś do morza!

- Mieliśmy przygodę - odparła z uśmiechem – ale chciałabym, żebyś poznał mojego kolegę, doktora McLennana. Jack, to jest Tim Langley, mój narzeczony.

Gdy mężczyźni witali się uściskiem dłoni, ciągnęła:

- Pewien starszy pan skoczył do wody, żeby ratować psa. Gdyby nie Jack, nie wiem, jak to by się skończyło.

- O rany! - Tim, spojrzał na Jacka z podziwem. - Twoje nazwisko obito mi się chyba o uszy. Jack McLennan...

- Kiedyś pracowaliśmy razem, pewnie ci o tym opowiadałam. Ale powiedz mi lepiej, czemu nie jesteś w Glasgow?

- Mam dla ciebie niespodziankę, więc chciałem cię złapać, zanim zaczniesz pracę. Przez całą noc kończyłem projekt i nie zmrużyłem oka, ale było warto, bo będzie z tego kupa kasy. Nie mogłem się doczekać, żeby ci o tym powiedzieć. I nie uwierzysz, mam jeszcze jedną sprawę. Znalazłem fantastyczne miejsce na nasze wesele!

- Przecież wszystko zostało ustalone - powiedziała zdziwiona. - Old Hall leży w pięknym miejscu nad jeziorem i już wydrukowaliśmy zaproszenia!

- Nic nie szkodzi. Zamówimy nowe, bo w Old Hall nie pomieścilibyśmy wszystkich gości, a ze względu na twojego tatę warto jeszcze doprosić parę osób.

Sally zagryzła usta. Nagle poczuła się bardzo zmęczona. Wprawdzie Tim ma dobre intencje, ale czasem bywa w gorącej wodzie kąpany. A poza tym nie miała ochoty rozmawiać o weselu w obecności Jacka.

- Tim, bardzo cię przepraszam, czekają pacjenci, a Jack musi się przebrać, więc pozwól, że zaprowadzę go na górę do jego mieszkania. Ja zresztą też powinnam włożyć suche ubranie. Całe szczęście, że mam tu coś na zmianę. O naszych sprawach porozmawiajmy wieczorem.

- No wiesz? - Tim zrobił żalostną minę. - Błagam cię, pogadajmy, to zajmie tylko chwilę. Nie zapominaj, że ja też padam ze zmęczenia.

Nie, nie dam się namówić, przecież robi się późno, muszą się przebrać, a Jackowi trzeba jeszcze pokazać komputerowe bazy danych.

- Zrozum, teraz nie mam czasu, pogadamy wieczorem.

- No dobrze, dobrze... - powiedział z uśmiechem rezygnacji, ale nie dokończył zdania, bo zadzwoniła jego komórka. - W porządku, Rita, zaraz przyjadę - rzucił do telefonu. - Strasznie was przepraszam - zwrócił się do Sally i Jacka. - Złapała mnie moja sekretarka, a jak ona coś mówi, muszę jej słuchać bez szemrania. Nie ma rady, pędzę do biura. - Pocałował Sally w przelocie. - Ciao, kochanie, do zobaczenia wieczorem!

- A więc to jest twój narzeczony – powiedział Jack, patrząc przez okno na Timma idącego szybko do samochodu. - Chyba strasznie zajęty z niego facet...

- Coś ci się w nim nie podoba? - przerwała mu ostro.

- Przeciwnie, jest bardzo sympatyczny. Ale jakoś inaczej wyobrażałem sobie twojego przyszłego męża.

- Coś takiego? - mruknęła pod nosem zirytowana. Jak on w ogóle śmie oceniać ludzi? - O co ci chodzi?

- Po prostu widać, że Tim to biznesmen z krwi i kości, człowiek pochłonięty interesami, a ty... ty masz trochę inny temperament.

Nie powiedział wprost, że według niego nie pasujemy do siebie z Timem, ale o to właśnie mu chodzi, pomyślała z furją.

- Wyobraź sobie, że lubię ludzi z pasją!

- Rozumiem, ale czy sądzisz, że Tim, dla którego żywiołem jest miasto, zechce tu zamieszkać?

- Nie znasz go. Bardzo się cieszy, że po ślubie zamieszkamy na wsi.

Z rumieńcami i oczami pałającymi złością było jej wyjątkowo do twarzy, przemknęło mu przez głowę. Ale szczęściarz z tego cholernego Tima.

- Na pewno znasz go lepiej ode mnie, a ja powiedziałem tylko, że...
- Zresztą to nie są twoje sprawy - przerwała mu.
- Uważasz, że nie mam prawa myśleć o twojej przyszłości?
- Otóż to, nie masz najmniejszego prawa!

Ale właściwie czym tu się przejmować? Nic jej nie obchodzi, co Jack myśli o Timie.

- Czas brać się do pracy - powiedziała oschle, zerkając na zegarek. - Joyce zaprowadzi cię na górę. Do zobaczenia za kwadrans.

Przebrała się i z kubkiem gorącej kawy usiadła przy komputerze. Nie czuła jednak ulgi, że poranny incydent dobrze się skończył, a Joyce poprosiła żonę Calluma, by odebrała wnuczkę i psa, lecz wciąż rozmyślała nad słowami Jacka. To prawda, na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać, że ona i Tim niezbyt do siebie pasują. I szczerze mówiąc, gdy ją poprosił o rękę, zgodziła się nie bez wahania. Należał do innego środowiska, żył w świecie twardych interesów, a ona dorastała na wsi. Ojciec dojeżdżał do pracy w Glasgow, ale mieszkali wśród pól, łąk i wzgórz, z psami i końmi.

Jednak Tim pokazał jej uroki życia światowego i sprawił, że szybko zapomniała o smutnych latach w samotności. Chodzili do restauracji, teatru i na dansingi, no i na parę dni wyskoczyli do Paryża. Timowi trudno było się oprzeć. A jeśli ich związek opierał się na przyjaźni i może nie było w nim romantycznych porywów, to co z tego? Zresztą nie dał jej zbyt wiele czasu na rozmyślanie o różnicy

charakterów. Zaręczyli się bardzo szybko, a Tim bez sprzeciwów zgodził się zamieszkać z nią po ślubie w Crannoch.

Do diabła z Jackiem i z jego opiniami! Ona i Tim są sobie bardzo bliscy. To jest najważniejsze. W małżeństwie liczy się przede wszystkim przyjaźń i wzajemne wsparcie, a to, że czasem tęskni się w związku za jakimś ogniem, nie ma znaczenia. Tak czy owak, nie będzie więcej rozmawiać z Jackiem o życiu prywatnym.

TLR

ROZDZIAŁ TRZECI

Zasepiony Jack spoglądał niewińczym wzrokiem w ekran komputera, na którym wyświetlił sobie listę pacjentów zapisanych na dzisiaj. I co ona, do cholery, widzi w tym facecie? Może i z niego porządny gość, ale przecież interesuje go tylko biznes i robienie kasy. Czyją naprawdę pociąga taki światek? I czy chce żyć z kimś, kto zaaferowany własnymi sprawami, prawie nie zwrócił uwagi na to, że jego narzeczona drży z zimna?

Nie ulega wątpliwości, że strasznie ją rozzłościło, gdy ośmielił się zasugerować, że ten Tim Langley może mieć jakieś wady! Z powodu złości Sally miał wręcz sporo satysfakcji. Ale z drugiej strony takie starcia nie ułatwią im współpracy, więc na przyszłość musi się powstrzymać od uwag o jej narzeczonym. I od głupiej zazdrości. W końcu Sally sama wie najlepiej, kogo chce poślubić.

Ta praca będzie dla niego ogromnym wyzwaniem, pomyślał z westchnieniem. Chociaż raz na zawsze musi pogodzić się z tym, że nie ma u Sally szans, już na sam jej widok odzyskuje chęć do życia. Ale dość tych rozmyślań, napomniał się, spoglądając w ekran. Tim Langley nie będzie ci przeszkadzał w pracy!

- Pan Angus Knightley? - przywitał z uśmiechem pierwszego pacjenta. - Nazywam się Jack McLennan, przez kilka tygodni będę zastępował doktor Cornwell.

Pacjent z wyraźnym trudem usiadł na krześle stojącym naprzeciw biurka. Był dobrze zbudowany, ale garbił się, miał ziemistą cerę i cienie pod oczami.

- Wiem o panu wszystko, doktorze - powiedział. - To pan uratował dzisiaj Caluma Brody'ego i od pierwszego dnia zdobył sławę w tych stronach.

- Jak widać, wieści rozchodzą się tutaj bardzo szybko - odparł Jack z rozba-
wieniem. - Skąd pan o tym wie?

- Od córki. - Angus Knightley uśmiechnął się z dumą. - Jestem ojcem Sharon, która razem z tą ponurą Joyce pracuje w recepcji. Bez Sharon ten gabinet nie mógłby się obejść. I to ona powiedziała mi wczoraj, że od dziś będzie przyjmował nowy lekarz. Postanowiłem więc skorzystać z okazji i zwrócić się o poradę do pana. Nie podważam, broń Boże, kompetencji kobiet, ale najwyższy czas, żeby w tym gabinecie zatrudnił się mężczyzna!

- No cóż, proszę wobec tego powiedzieć, w czym mógłbym panu pomóc.

- Więc problem polega na tym... - Agnus zaczął zakłopotany. - Nigdy w życiu nie dałbym się zbadać ani doktor Cornwell, ani doktor Lawson...

Ciekawe, czy to się często tutaj zdarza, pomyślał Jack. Czy ludzie z powodu skrępowania nie zgłaszają się do lekarza? Wielokrotnie miał do czynienia z tym zjawiskiem.

- Rozumiem, ale skoro zdołał się pan przełamać i jednak tu przyszedł, bardzo proszę powiedzieć mi śmiało, co panu dolega.

Angus milczał przez chwilę, po czym wydusił z trudem:

- To jest bardzo dokuczliwa sprawa. Boli mnie tutaj, panie doktorze - wyjaśnił, dotykając siedzenia.

- Ma pan na myśli hemoroidy? - zapytał Jack ze współczuciem. To bardzo przykra dolegliwość, choć jest przedmiotem głupich żartów. Nic dziwnego, że pacjent wygląda na umęczonego. - Od dawna pan na nie cierpi?

- Zaczęło się jakiś rok, a może nawet i dwa lata temu. Ale za nic nie zgłosiłbym się z tym do lekarki. Przecież nie ściągnę spodni w obecności kobiety!

- Hemoroidy to bardzo częsta przypadłość, wszyscy lekarze spotykają się z nią wielokrotnie w swojej praktyce. Gdyby poprosił pan o radę moje koleżanki, na pewno by umiały panu pomóc.

- Wiem, że to zabrzmie głupio, ale pan nie jest z tych stron i będzie tutaj krótko. Nie chciałbym, żeby ktoś dowiedział się o moim problemie.

- Zapewniam pana, że nas wszystkich obowiązuje tajemnica lekarska. O schorzeniach naszych pacjentów wolno nam rozmawiać jedynie z personelem medycznym, i to tylko wtedy, gdy potrzebujemy pomocy w diagnostyce czy leczeniu.

- No cóż, wierzę, skoro pan tak mówi. Ale z tego, co wiem, chirurgiczne usuwanie tego... tych hemoroidów jest bardzo bolesne. Mój wuj po takim zabiegu przez dwa tygodnie leżał w szpitalu i straszliwie cierpiał. Myślę, że to też jest powodem, dla którego bałem się zgłosić do lekarza.

- Muszę pana uspokoić. Po pierwsze, domyślam się, że ten zabieg miał miejsce dobrych kilka lat temu, a medycyna zrobiła ostatnio ogromne postępy. Dzisiaj

mamy znacznie doskonalsze techniki chirurgiczne. Najpierw jednak chciałbym pana zbadać, a potem pomyślimy, jak temu zaradzić.

Jack nie zdziwił się, że jego pacjent cierpi. Szkoda, że tak długo zwlekał z przyjściem do lekarza. Gdy powiedział panu Angusowi, że w jego przypadku nie obejdzie się bez interwencji chirurgicznej, ten przyjął to z nadspodziewanym spokojem.

- Czuję, że już dłużej tego nie wytrzymam, naprawdę byłem u kresu. Ale raz kozie śmierć, chcę mieć z tym spokój. Dziękuję, panie doktorze, za pomoc i wyrozumiałość. Już tylko to, że zechciał mnie pan wysłuchać, przyniosło mi wielką ulgę. Jeśli w zamian mógłbym czymkolwiek panu służyć, proszę o mnie nie zapominać. Prowadzę biuro obrotu nieruchomościami, więc gdyby pan myślał o zakupie domu czy ziemi w tych stronach, proszę o mnie pamiętać.

- Dziękuję bardzo - odparł Jack z uśmiechem - ale raczej nie noszę się z takim zamiarem. W każdym razie, jeszcze raz dziękuję.

- Nigdy nie wiadomo, życie przynosi niespodzianki. Kto wie, może nas pan tak polubi, że postanowi z nami zostać - dodał Angus z uśmiechem.

Po jego wyjściu Jack wpisał do bazy informacje o pacjencie, po czym zamyślił się na chwilę. Wielka szkoda, że nie będzie mógł skorzystać z pomocy pana Knightleya. Bardzo chętnie zamieszkałby na stałe w tak malowniczych stronach, a gdyby Sally...

Ale nie, to są mrzonki. Ona chce dzielić życie z człowiekiem, który jest w odróżnieniu od niego wolny od straszliwego bagażu życiowego. Bagażu uniemożliwiającego stały związek.

Sally z niepokojem zerknęła na zegarek. Oby tylko Mary i Bert Olsenowie nie zajęli jej zbyt wiele czasu. Czekają ją przecież jeszcze wizyty domowe.

Ciekawe, jak Jack sobie radzi? To pytanie nie dawało jej spokoju i było jej trochę przykro, że po wyjściu Tima potraktowała go tak oschle. Pierwszego dnia pracy z samego rana przeszedł chrzest bojowy. Przecież dzielnie ratował człowieka, więc może zasługuje na odrobinę życzliwości z jej strony.. Tym bardziej, że przecież sama go zapytała, co sądzi o Timie.

Szybko zapoznała go z bazą danych i zostawiła z listą pacjentów, których miał dzisiaj przyjąć, mówiąc mu jedynie na odchodnym, że gdyby potrzebował pomocy, może ją wezwać. Pewnie powinna potraktować go trochę bardziej przyjaźnie. W końcu mają razem pracować, a atmosfera panująca wśród pracowników poradni udziela się pacjentom. No dobrze, postaram się być wobec niego miłsza, pomyślała z westchnieniem, zerkając na siedzących naprzeciw niej Mary i Berta Olsenów.

Obydwoje byli otyli i prowadzili niewielki pensjonat w sąsiednim miasteczku. Co dwa tygodnie odwiedzali matkę Mary, Hildę Brown. To niewątpliwie jest godne pochwały, ale Sally czuła podskórną, że nie przyszli dzisiaj jedynie z troski o Hildę, a ich częste telefony do gabinetu i ciągle dopytywanie się o zdrowie staruszki wydawały się jej trochę na pokaz.

- Pani doktor, chcielibyśmy, żeby pani obejrzała mamę. Od czasu tego jej upadku dwa tygodnie temu bardzo się o nią martwimy.

- Wydaje mi się, że nie ma powodów do niepokoju. Mama po prostu potknęła się o dywan, a ja nie stwierdziłam, żeby stało się jej coś poważnego.

- No tak, ale obserwujemy u niej pewne niepokojące zmiany. Mama traci pamięć i najwyraźniej nie radzi sobie sama na co dzień. Naszym zdaniem jej stan szybko się pogarsza i mama wymaga pomocy. Czujemy, że nie należy z tym dłużej zwlekać i zwróciliśmy się w tej sprawie do adwokata.

Sally odnosiła wrażenie, że Hilda obawia się, by córka z zięciem nie zmusili jej do wyprowadzki z jej pięknego domu. Starsza pani zdawała sobie sprawę, że dla jednej osoby ten dom jest może za duży, ale kochała go i chciała w nim zostać.

- Kiedy badałam panią Brown dwa tygodnie temu, była trochę osłabiona fizycznie, ale w świetnej formie umysłowej. Uważam więc, że mama jest w stanie radzić sobie samodzielnie.

- To są tylko pozory, bardzo się ostatnio posunęła i zniedołężniała - powiedziała Mary stanowczo. - Nam chodzi wyłącznie o jej dobro, a codzienność ją najwyraźniej przerasta. Mama nie powinna mieszkać sama, nie ma siły zajmować się domem i potrzebuje opieki. Boję się, że może stać się nieszczęście, że na przykład zapomni zakręcić gaz albo wodę.

- Przykro mi, ale w tych sprawach decyzja nie należy do mnie, nawet gdybym uważała, że mama potrzebuje pomocy. W takiej sytuacji potrzebny jest wniosek z opieki społecznej i opinia drugiego lekarza. Jeśli pani Brown nie stwarza zagrożenia dla samej siebie, nikt nie może jej do niczego zmusić. Jestem zdania, że należy zapewnić jej częściową opiekę, na przykład dowóz gorących posiłków i pomoc przy kąpieli. Jeśli mama się na to zgodzi, załatwimy jej to bez trudu, a pani Hilda będzie mogła zostać u siebie jeszcze przez lata. Warto o to zawalczyć, bo we własnym domu czuje się najlepiej.

Olsenowie wymienili pospieszne spojrzenia, po czym Bert rzekł z naciskiem:

- Mam wrażenie, że nie zdaje sobie pani sprawy, doktor Lawson, z powagi sytuacji. Gdyby teściowej stało się coś złego, gdyby na przykład znowu upadła, nie wybaczylibyśmy sobie tego do końca życia.

- Całkowicie zgadzam się z mężem – dodała Mary. - Mama wymaga całodobowej opieki.

- Ale panią Hildę można wyposażyć w elektroniczną bransoletkę z guzikiem alarmowym. Wystarczy, że go naciśnie, gdyby potrzebowała pomocy. A poza tym, jak wspomniałam, jeśli mama się zgodzi, możemy zaaranżować codzienne odwiedziny pracowników opieki społecznej.

- Uważam, że to nie wystarczy - odparła Mary. - Prosimy więc bardzo, żeby pani doktor odwiedziła mamę. Jak ją pani zobaczy, z pewnością przyzna nam pani rację. Przecież musi być jakiś sposób, żeby przekonać mamę do zamieszkania tam, gdzie miałyby zapewnioną stałą opiekę.

- Dobrze, przyjadę do pani Hildy jeszcze dzisiaj. Naprawdę chciałabym uwolnić państwa od niepokoju.

- Bardzo dziękujemy - powiedziała Mary, wstając. - Myślę, że przekona się pani, że nasze obawy są uzasadnione. A więc do zobaczenia.

Sally do pewnego stopnia ich rozumiała. Życie ludzkie wydłuża się, coraz więcej starszych ludzi potrzebuje opieki. Ale z drugiej strony nie dałaby głowy, że Olsenowie mają wyłącznie czyste intencje.

Wyszła z pokoju, by w kuchence nalać sobie kawy. Ale gdy po drodze mijała gabinet Jacka, po chwili Wahania postanowiła do niego zajrzeć. Uznała, że w

końcu mają razem pracować, więc nie warto się boczyć. Im szybciej przełamię lody, tym lepiej.

- Proszę! - zawołał w odpowiedzi na pukanie.

Gdy zobaczył ją w progu, zdumiony zerwał się z biurka. Najwyraźniej nie spodziewał się tej wizyty i chyba trochę się mnie boi, pomyślała z satysfakcją.

Trudno temu wysokiemu, niebieskookiemu facetowi odmówić uroku. Nic w tym dziwnego, że kiedyś zawrócił jej w głowie. Ale to dawne dzieje, teraz ma Tima, wspaniałego narzeczonego, który też jest przystojny, choć może... może mniej seksowny. Ale skąd jej w ogóle przyszło do głowy, by ich porównywać?!

Jack nie mógł oderwać od niej wzroku. W jasnoniebieskiej bluzce z jedwabiu, z granatową apaszką pod szyją i w dopasowanych kolorystycznie spodniach wyglądała wyjątkowo ładnie i bardzo pociągająco.

- Chcesz, żebym przyjął dzisiaj dodatkowych pacjentów? - zapytał niepewnie.

- Ależ nie. Po prostu zajrzałam, żeby cię spytać, czy masz ochotę na kawę.

- Czytasz w moich myślach – powiedział z uśmiechem. - Wreszcie rozgryzłem tę bazę danych, więc chyba rzeczywiście należy mi się nagroda.

- Odsapnij chwilę, bo potem chciałabym cię zabrać na wizyty domowe, żebyś trochę się rozeznał w tej okolicy i poznał pacjentów. Zwłaszcza w jednym przypadku bardzo mi zależy na twojej opinii.

- Jestem do twoich usług - odparł z iskierkami radości w oczach.

W kuchence zastali obie recepcjonistki, które też zrobiły sobie krótką przerwę w pracy.

- Spójrz, Joyce - powiedziała Sharon, pokazując koleżance zdjęcie w kolorowym piśmie. - Ty też powinnaś zrobić sobie takie pasemka. Siwizna okropnie postarza.

- Dzięki za dobre rady, ale nie zamierzam się farbować. Nie będę wydawać kasy bez potrzeby. Sharon strasznie chce mnie wyszykować, bo wybieram się na kolację - zwróciła się do Sally - a ja jej powtarzam, żeby się ode mnie odczepiła. Właśnie miałam ci powiedzieć, żebyś zadzwoniła do szpitala, do pana Barnes. Prosiłaś ich wczoraj, żeby przyjęli tego staruszka, i Barnes ma do ciebie jakieś pytania.

- Dzięki, porozumiem się z nim po południu. Teraz chcę pojechać z Jackiem do Hildy Brown i trochę mu pokazać naszą okolicę.

- Widzę, że w sprawie swojej koleżanki Sharon próbuje głową przebić mur - zauważył Jack, gdy chwilę później wsiadali do samochodu Sally. Nie umiała stłumić chichotu.

Rozpogodziło się, przez chmury czasem nawet przebijało słońce. Z wijącej się serpentynami drogi na wzgórze, na którym stał dom Hildy Brown, rozciągał się przepiękny widok na zatokę i wyspę. Z jednej strony w dole błyszczało morze i majaczyła górzysta Hersa, którą wkrótce miał pokryć liliowy dywan wrzosowisk, z drugiej rozciągały się pola i łąki.

- Ten pejzaż zapiera dech w piersiach - powiedział cicho Jack.

- I w zależności od pogody całkowicie się zmienia. Teraz jest łagodny, ale przy ulewie, sztormie i czarnych chmurach też potrafi zachwycić.

Gdy zza zakrętu wyszło na drogę stado krów, Sally musiała się zatrzymać, by je przepuścić. To śmieszne, pomyślała, że kiedyś mieliśmy sobie tak wiele do powiedzenia, a teraz czekamy w milczeniu.

Jack siedział w jej małym samochodzie z podkulonymi nogami, a ona zastanawiała się, czy zdarzyło mu się żałować, że ją porzucił. Na pewno nie, przywołała się do porządku, bo gdyby tak było, nie czekałby sześciu lat z przyjazdem do Szkocji.

- Więc postanowiłeś nie wracać do Australii ze względu na młodszego brata? Chcesz mieć na niego oko?

- Tak, Liam jest bardzo młody, zaczyna studia, a ma za sobą wiele trudnych przeżyć. Potrzebuje oparcia. A poza tym - dodał, uśmiechając się lekko - dopiero po powrocie do Szkocji przekonałem się, jak bardzo tęskniłem.

- Czego na przykład ci brakowało?

- Och, nie zrozum mnie źle. Australia to wspaniały kraj, ale tęskniłem tam za takimi krajobrazami i, oczywiście, za ludźmi. Myślę, że w głębi duszy zawsze chciałem wrócić do kraju.

Gdy krowy przeszły na pastwisko, Sally, ruszając powoli, zapytała, siłąc się na obojętność:

- Z nikim się tam nie związałeś? Może za bardzo koncentrowałeś się na karierze?

- Kto wie, może dlatego? A może po prostu mam mniej szczęścia od ciebie? Ale powiedz mi lepiej, jak wam idą przygotowania do ślubu.

- Świetnie - odparła z uśmiechem. - To jest naprawdę szalenie ekscytujące, choć muszę przyznać, że sporo z tym roboty i zamieszania.

Jack zerknął na jej drobne dłonie na kierownicy i ten przeklęty wielki pierścienek zaręczynowy lśniący na palcu. Lekki zapach znajomych perfum przywołał wspomnienia upojnej nocy, gdy w świetle księżyca tańczyli na trawniku, a on, przytuliwszy policzek do jej szyi, napawał się tym zapachem... Zerknął na jej profil, lekko zadarty nos i jasną jedwabistą grzywkę. Przed sześcioma laty ile to razy wysiadali z samochodu w drodze ze szpitala, by przejść się wśród pól albo kochać się pod gołym niebem...

Z westchnieniem zacisnął zęby. Nie wolno mu rozpamiętywać tego, co się już nie powtórzy. Sally jest zaręczona, a on będzie z nią pracował jedynie parę tygodni. Nie ma prawa niczego od niej oczekiwać.

- Powiedz mi coś o pacjentach, których mamy odwiedzić - powiedział, przerywając ciszę.

- Zaczniemy od Hildy Brown, wdowy po miejscowym notariuszu. Hilda ma zamężną córkę. Cierpi na wieńcówkę, ale choroba jest całkowicie pod kontrolą. To bardzo inteligentna kobieta, absolutnie sprawna umysłowo. Kocha swój przepiękny dom, zwany „Ostoją”. Niedawno potknęła się o dywan i lekko nadwreżyła nogę w kostce, ale poza tym nic się jej nie stało. Po jakiejś godzinie znalazł ją ogrodnik.

- Więc na czym polega problem?

- Jej córka, Mary Olsen, i zięć, uważają, że Hildę należałoby przenieść do domu opieki. Mówią, że to dla jej dobra, ale ja mam co do tego poważne wątpliwości.

- Ludzi, którzy nie stwarzają zagrożenia dla siebie i innych, nie wolno zmuszać do zamieszkania w domu opieki.

- Wiem. Odnoszę też wrażenie, że Mary i Bert wywierają na mnie presję, żebym ich wsparła w tej sprawie, więc bardzo mi zależy na twojej opinii. Rozumiem, że w Australii miałeś do czynienia z takimi sytuacjami?

- Tak, wielokrotnie. W okolicach, gdzie mieszkałem, młodzi w poszukiwaniu pracy wyjeżdżali do miast, a ich starzejący się rodzice zostawali na wsi. Zapewnienie im opieki było bardzo poważnym problemem, a ja, jako lekarz, często musiałem orzekać, czy są zdolni radzić sobie samodzielnie.

- Muszę cię uprzedzić, że Olsenowie będą dziś obecni przy wizycie. Prowadzą pensjonat w sąsiednim miasteczku Oban.

- Sądzisz, że będą próbowali cię skłonić do wydania opinii, że pani Brown nie powinna mieszkać sama?

- Nie mogę tego wykluczyć. W każdym razie bardzo na ciebie liczę, bo co dwie głowy, to niejedna. Jesteśmy na miejscu - dorzuciła, zmieniając bieg.

Wysiedli przed dużym pięknym domem stojącym na wzgórzu. Porastał je wypielegnowany trawnik, w dole rozciągało się morze, uspokojone po porannym sztormie. Uderzył ich powiew lekkiej bryzy, wysoko nad ich głowami śpiewał radośnie skowronek.

- Co za cudowne miejsce - zauważył Jack, biorąc głęboki oddech. - Może ten dom jest dla jednej osoby trochę za duży, ale świetnie rozumiem panią Brown, bo na jej miejscu też nie chciałbym się stąd wyprowadzić.

Gdy Mary Olsen pojawiła się w progu, Sally przedstawiła jej Jacka, wyjaśniając, że doktor McLennan ma duże doświadczenie ze starszymi osobami, więc pozwoliła sobie poprosić go o opinię w sprawie Hildy.

- Rozumiem - odparła Mary. - Wprawdzie spodziewałam się tylko pani, ale przyda się nam orzeczenie drugiego lekarza. Mama nie jest dzisiaj w najlepszym nastroju - dodała, zapraszając ich do środka.

Przeszli przez duży chłodny hol o ścianach obitych dębową boazerią. Jack z ciekawością spoglądał na wiszące wysoko stare obrazy. Pani Brown niewątpliwie jest osobą majątną, pomyślał. Na ich powitanie wybiegł duży labrador machający radośnie ogonem, ale Mary krzyknęła na psa, żeby się położył.

Sally z Jackiem weszli za nią do ogromnego wspaniałego salonu z wielkimi oknami na ogród, zatokę i wyspę na horyzoncie. Jego umeblowanie tworzyły masywne fotele i dwie kanapy, kilka etażerek i stolików, o framugę okienną opierały się sztalugi, przy których stała ława z farbami i pędzlami, a róg salonu zajmował fortepian. Stosy książek i sterty papierów leżały wszędzie, mnóstwo ich było także na podłodze, a stojące na stolikach i etażerkach filiżanki po herbatce i nie umyte talerzyki dopełniały panujący tam nieład.

- Przepraszam, że nie zdążyłam z mężem ogarnąć tego bałaganu - powiedziała Mary, uśmiechając się znacząco. - Ale w porównaniu z kuchnią, gdzie nie miałabym śmiałości państwa wprowadzić, tutaj panuje porządek - dodała z westchnieniem.

Pani Brown, drobna staruszka o siwych rozpuszczonych włosach do ramion siedziała wyprostowana w fotelu z uszakami. Miała na sobie wygodne pantofle, długą suknię i słomkowy kapelusz ze wstążką na głowie.

- Mamo, doktor Lawson przyszła do ciebie, a to jest jej kolega, doktor McLennan – powiedziała Mary.

- Przecież wiesz, że czuję się dobrze i nie potrzebuję lekarzy. Nie rozumiem, czemu ty i Bert tak przejmujecie się moim zdrowiem?

- Bardzo się niepokoiśmy o ciebie i uważamy, że nie powinnaś mieszkać sama w tym wielkim domu. Zwłaszcza że masz kłopoty z równowagą. Naszym zdaniem powinnaś przeprowadzić się do jakiegoś miłego mieszkania, gdzie miałabyś stałą opiekę, albo do komfortowego domu pogodnej starości.

- Nie mam żadnych kłopotów z równowagą, po prostu się potknęłam. I nie stało mi się nic złego. Lubię mieszać sama i być u siebie. To, co mi proponujesz, byłoby dla mnie więzieniem. Wybij to sobie z głowy. Tutaj mogę malować, towarzyszy mi pies i mam mnóstwo zajęć. Dziękuję wam za troskę, ale niepotrzebnie zawracacie sobie mną głowę.

Sally, która przysiadła przy niej na taborecie, powiedziała:

- Wydaje mi się, że pani Mary z mężem obawiają się, że w razie gdyby pani poczuła się gorzej, nie będzie nikogo, kto by pani udzielił pomocy.

- Nonsens - odparła Hilda, patrząc jej w oczy. - Nie potrzebuję opieki, świetnie sobie radzę, a poza tym mam przyjaciół, do których w każdej chwili mogę zadzwonić z prośbą o pomoc.

- Może przyjechaliby w nagłym przypadku, ale pamiętaj, że oni mieszkają kilkanaście kilometrów stąd. Poza tym martwi mnie, że ty na co dzień żywisz się wyłącznie grzankami.

Hilda, ignorując córkę, zwróciła się do Sally:

- Mary męczy mnie od tygodni, ale ja świetnie radzę sobie tutaj sama. Nie dość na tym, o lasce chodzę codziennie na porządne spacery z psem. Ani mi w głowie jakieś przenosiny, nie ma o tym mowy.

TLR

- Mamo, masz tutaj straszliwy rozgardiasz, ten dom jest coraz bardziej zapuszczony, nie umiesz niczego znaleźć i nie panujesz nad niczym. Któregoś dnia zapomnisz zakręcić wodę albo zrobisz pożar!

- Więc sama widzisz, jak zaleję albo spalę ten dom, będę musiała się stąd wynieść. A teraz, bardzo cię proszę, zaparz nam w kuchni herbatę, bo ja chciałabym zamienić z państwem parę słów na osobności.

Mary opuściła pokój z grymasem niezadowolenia. Ta wizyta nie przebiegała najwyraźniej po jej myśli.

Jack, omijając papiery leżące na podłodze, podszedł do sztalugi i przez dłuższą chwilę oglądał w milczeniu rozpięte na niej płótno.

- Ten pejzaż jest naprawdę znakomity! Czy to pani dzieło?

- Tak, młody człowieku - odparła Hilda z uśmiechem. - Malowanie to moja pasja, a widok z tego okna nigdy mi się nie nudzi! Bo tutaj kolory ciągle się zmieniają, płyną chmury, a kiedy niebo się rozpogadza, okoliczne wzgórza lśnią w słońcu. Zdaję sobie sprawę, że dla mnie jednej ten dom jest za duży - dodała z westchnieniem - ale dopóki będę w stanie malować, chcę tu zostać. I nie zamierzam poddawać się naciskom zięcia i córki.

- A czy zgodziłaby się pani na jakąś formę pomocy na miejscu? - zapytała Sally. - Wiem, że nie lubi pani, żeby obcy ludzie kręcili się po domu, ale żeby tutaj mieszkać, może warto by pójść na pewien kompromis.

- Jeśli dzięki temu Bert trzymałby się ode mnie z daleka, na pewno warto by pójść na kompromis - rzekła pani Brown z szerokim uśmiechem.

- Sądzi pani, że zięć chciałby przejąć ten dom?

Hilda, która nagle posmutniała, wyglądała krucho i bezbrinnie. Dyskretnie otarła oczy chusteczką, po czym powiedziała:

- Oni chcą, żebym się stąd wyniosła, doktor Lawson. Ten dom świetnie nadawałby się na pensjonat, a wiem, że ich interesy w Oban nie idą ostatnio zbyt dobrze i chcieliby się tutaj przeprowadzić. Pani doktor, bardzo proszę nie pozwolić im mnie stąd wyrzucić - dodała niemal błagalnie. - Wiem, że robię się coraz słabsza, ale to jest mój dom...

- Na jakiej podstawie sądzi pani, że córka z zięciem mają takie plany? - zapytał Jack łagodnie.

- Słyszałam, jak kłócili się o finanse, a Bert powiedział, że powinni wyprowadzić się z Oban i założyć pensjonat w tym domu. Mary jest moją córką, ale między nami nigdy się nie układało. Mój mąż ją strasznie rozpieszczał, a ona jest bardzo uparta i zawsze chce postawić na swoim. Zrobiłam dla niej wszystko, co było w mojej mocy, kupiłam jej pensjonat w Oban, ale oni nie umieli nim zarządzać i teraz chcieliby rozkręcić interes w tym domu. Ja jednak nie zamierzam im ustępować!

- I nie ma po temu żadnego powodu - powiedziała Sally. - Czy zgadza się pan ze mną, doktorze McLennan?

Jack, który przysunął sobie krzesło i usiadł koło pani Brown, z ciepłym uśmiechem ujął jej dłoń.

- Jestem absolutnie pewien, że będzie pani tu mieszkać jeszcze przez wiele lat. Można pani pomóc na wiele sposobów, tak żeby po prostu ułatwić pani życie. Sądzę, że na przykład warto by zorganizować dowóz posiłków, bo to ważne,

żeby pani jadała regularnie, a samemu nie warto męczyć się z gotowaniem.

Namawiałbym też panią na bransoletkę z dzwonkiem alarmowym, który w razie potrzeby wystarczy nacisnąć.

- Przeklęta starość - westchnęła pani Brown. - Ale chyba nie ma rady, muszę skorzystać z tego, co mi proponujecie. Czy zechcieliby państwo powiadomić o tym moją córkę? A teraz pozwolą państwo, że będę zgadywać - zwróciła się z uśmiechem do Sally, patrząc na jej pierścionek. - Czy ten młody człowiek jest pani narzeczoną? Muszę przyznać, że jesteście bardzo przystojną parą i świetnie do siebie pasujecie!

Sally, czerwieniąc się, wymieniła z Jackiem ukradkowe spojrzenie.

- Nie, doktor McLennan to zatwardziały kawaler i wciąż jest do wzięcia - odparła, siląc się na wesołość.

- A doktor Lawson znalazła sobie lepszą partię i za kilka tygodni wychodzi za mąż - dorzucił Jack.

- Och, bardzo przepraszam za ten niefortunny żart, za obciach, jak to się mówi w waszym pokoleniu.

Sally na moment przystanąła w drzwiach, marząc tylko o tym, by coś przekąsić i odprężyć się przy kominku po długim i męczącym dniu. Nie brakowało w nim wrażeń, poczynając od porannego incydentu nad morzem, na dość nieprzyjemnej rozmowie z Mary i Bertem Olsenami kończąc. Szkoda, że akurat dzisiaj, kiedy jestem taka wypompowana, mamy się naradzić z Timem, gdzie zorganizować wesele.

Dobrze, że do pani Brown zabrała Jacka. Zależało jej na jego opinii, a poza tym we dwójkę łatwiej im było stawić czoła Olsenom. Mary upierała się, że matka nie może mieszkać sama, ale Jack cierpliwie i uprzejmie zdołał jej wytłumaczyć, że decyzja w tej sprawie należy do pani Hildy.

Sally położyła na kanapie torbę lekarską, zdjęła płaszcz i dopiero po chwili dostrzegła kartkę leżącą na stoliku przy telefonie.

„Kochanie, jest mi strasznie przykro, ale z naszego dzisiejszego spotkania niestety wyszły nici, bo wezwano mnie pilnie do Glasgow w sprawie nowego kontraktu. Czy wobec tego mogłabyś skontaktować się z Ritą, żeby zamówiła nowe zaproszenia weselne do Carswell To wers? Powiedz jej, że potrzebujemy ich więcej, bo zamierzamy doprosić jeszcze około pięćdziesięciu osób. Skoro to będzie najważniejszy dzień w naszym życiu, nie warto nikogo pomijać. W razie jakichś problemów, daj znać. Ściskam Cię i do zobaczenia, Tim”.

Sally usiadła ciężko na kanapie. Tim chce zaprosić znajomych, z którymi robi interesy, ludzi, których ona praktycznie nie zna. Ale chyba nie ma na to rady, bo jemu bardzo zależy, by utrzymywać z nimi stosunki towarzyskie.

Podeszła do okna, by popatrzeć na morze. Kiedy planowali pobrać się z Jackiem, wesele miało odbyć się w gronie rodzinnym w jej domu na wsi, a w podróż poślubną chcieli się wybrać na wędrowkę w pobliskie góry. Ten pomysł bardzo jej odpowiadał. Ale nie ma co marzyć, pomyślała z westchnieniem, dla Tima coś takiego byłoby absolutnie nie do pomyślenia. Poza tym jej rodzice też uwielbiali tłumne i huczne uroczystości. Im więcej ludzi, tym weselej, powiadał ojciec.

Oparła czoło o zimną szybę, próbując odpędzić te myśli. Ale w głębi duszy czuła, że gdzieś wyparował z niej cały entuzjizm i przestała się cieszyć z nadchodzącego ślubu. Miała dziwne wrażenie, że zawisła nad nią jakaś ciemna

chmura. Stała jeszcze chwilę z przymkniętymi oczami, po czym poszła do kuchni, by nalać sobie szklankę wody.

Dość tego, przywołała się do porządku, przecież marzy o małżeństwie z Timem! A niepokój przed ślubem jest naturalny, przeżywają go prawie wszystkie kobiety. Kto wie, może te głupie myśli ogarnęły ją też dlatego, że tak niespodziewanie spotkała znowu Jacka. Wytrąciło ją to z równowagi, przypomniało o dawno, jak się wydawało, zagojonych ranach, zasiało wątpliwości. Ale to jest śmieszne, bo przecież nie może się doczekać, by zacząć życie u boku Tima!

TLR

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Pozwól, jeszcze trochę zbierzemy w pasie - powiedziała Sue. - A teraz popatrz w lustro, no właśnie, jest idealnie! Wyglądasz olśniewająco!

Sięgająca do ziemi biała suknia z koronki, szykowna i bardzo strojna, mieniąca się koralikami wszytymi przy dekolcie i w fałdach krynoliny, podkreślała zgrabną figurę panny młodej, jej długą szyję i szczupłą talię.

- I co ty na to? - dopytywała się Sue.

- Wspaniała robota - odparła Sally z uśmiechem. - Ale jest tak dopasowana, że przed ślubem nie będę mogła przytyć ani grama!

- Na twój widok pan młody zemdleje z zachwytu, ale pamiętaj, że przed Wielkim Dniem za żadne skarby nie może cię widzieć w tym stroju!

Wielki Dzień! Ciekawe, czy wszystkie panny młode myślą o nim z takim niepokojem, pomyślała Sally.

To wszystko zaczęło ją przerastać. Tim od paru dni praktycznie nie miał dla niej czasu, bo jak się okazało, musiał rozwiązać jakieś nieprzewidziane problemy

związane z nowym kontraktem. Jeszcze raz zerknęła w lustro. I nagle poczuła się w tej sukni jak w zbroi czy pancerzu.

- Przestań się martwić, przecież szykujemy się na wesele, a nie na pogrzeb! - zawołała Sue wesoło, ale po chwili spowaźniała. - Jesteś blada. Na pewno się przepracowujesz. Nie możesz tak się przejmować pacjentami, Sally. Musisz też pamiętać o sobie.

- Po prostu ostatnio marnie sypiam. Wydaje mi się, że chyba rzeczywiście mam sporo spraw na głowie.

To, co na nią spadło, należałoby raczej nazwać urwaniem głowy. Ustalenia dotyczące cateringu, dekoracji czy zdjęć wymagały odpowiadania na dziesiątki mejli i prowadzenia niekończących się rozmów telefonicznych. Timowi zależało, by na ich ślubie i weselu wszystko zostało dopięte na ostatni guzik, jakby to miał być teatralny spektakl.

- To będzie niezapomniany dzień, dla nas i naszych gości - powtarzał. - W razie jakichkolwiek problemów bez wahania zwróć się o pomoc do Rity.

Jego sekretarka faktycznie okazała się bardzo pomocna w sprawach organizacyjnych i miała mnóstwo cennych uwag praktycznych z własnego doświadczenia. Jak zwierzyła się Sally, „zaliczyła tę imprezę” i chociaż później rozwiodła się, wie, jak unikać przykrych niespodzianek związanych z weselem.

To właśnie Rita doradziła jej, żeby Sue, która w centrum Glasgow prowadziła elegancką pracownię projektancko-krawiecką i z którą Sally w ciągu ostatnich miesięcy zdążyła się zaprzyjaźnić, na ostatnią miarę przyjechała do niej do Cranoch, bo „szkoda twojego czasu na wyprawy do miasta”.

- Niezła z niego sztuka! - zawołała Sue z podziwem, patrząc na zdjęcie stojące na toalecie, na którym opalony i roześmiany Tim ścigał żagiel na jachcie przyjaciela. - Lepiej mi powiedz, gdzie się znajduje takich facetów?

- Sami się nawijają - roześmiała się Sally, spoglądając na fotografię.

Trzeba przyznać, świetnie tutaj wyszedł, pomyślała. Przystojny, pogodny, tryskający energią. Wychodzę za fantastycznego faceta, szczęściara ze mnie. Ale nagle wróciły do niej echem słowa Jacka: „Jakoś inaczej wyobrażałem sobie twojego przyszłego męża”. On się grubo myli! Tim to spełnienie marzeń, człowiek sukcesu, wspaniałomyślny i ambitny. Także moi rodzice są zachwyceni przyszłym zięciem.

Sally jeszcze raz spojrzała w lustro. Sue naprawdę wyczarowała cudowną suknię, a ona po prostu musi się przyzwyczaić do roli pięknej panny młodej w bieli. Jak dobrze, że Tim zabiera ją dzisiaj na kolację. Bardzo się za nim stęskniła i szczerze mówiąc, miała poczucie, że pochłonięty pracą, trochę ją ostatnio zaniedbuje.

- Żadna z moich klientek nie wyglądała tak zjawiskowo jak ty - powiedziała Sue, uśmiechając się z dumą. - Jesteś żywą reklamą mojej pracowni.

- Nie ma kobiety, która w tej kreacji nie wyglądałaby dobrze, więc to wyłącznie twoja zasługa. – Sally zmusiła się do śmiechu. - Nie wiem, jak ci dziękować, Sue, to jest suknia z bajki. Mam wielką prośbę, nastaw wodę na herbatę, a ja jeszcze przez chwilę będę się wdzięczyc przed lustrem.

Ledwie Sue zdążyła wyjść do kuchni, zadzwonił dzwonek do drzwi.

- Mam otworzyć, Sally?

- Bądź tak miła.

- To twój kolega z pracy, Jack! - Sue zawołała z przedpokoju. - Ma do ciebie pilną sprawę. Czy może wejść?

- Nie, poproś go, żeby poczekał chwilę - powiedziała Sally w popłochu. - Muszę się przebrać.

Nie chciała za żadne skarby świata, by Jack McLennan zobaczył ją w tej sukni. To byłoby dla niej straszliwie krępujące...

Ale drzwi otworzyły się i nieproszony gość stanął w progu. Ich oczy spotkały się na moment. On patrzył oniemiały, ona z zakłopotaniem. Po chwili milczenia rzekł z podziwem:

- O rany, Sally! Wyglądasz niesamowicie!

Weź się w garść, przywołała się do porządku.

Wyglądasz pięknie i masz być z tego dumna! Właściwie to bardzo dobrze, że on widzi cię w sukni ślubnej! Niech ma za swoje! Za to, że tak przez niego cierpiała! Niech zobaczy, co stracił! Niech zazdrości! Niech wie, że choć ją porzucił, ona się nie załamała! Przeciwnie, odnalazła miłość i jest szczęśliwa!

- Więc uważasz, że w sukni ślubnej jest mi do twarzy? - powiedziała z diabelską przekorą, spoglądając na niego kokieteryjnie.

Jego oczy jakby pociemniały, ale po sekundzie odparł z uśmiechem:

- Zaręczam, że pan młody nie będzie miał powodów do narzekań. Szczęściarz z niego.

Dlaczego ta odpowiedź trochę ją rozczarowała? Wiadomo, że on nic do niej nie czuje, ale mógłby się przecież zdobyć na większe komplementy! Dlaczego powiedział tylko o braku „powodów do narzekań”? I to jeszcze w cudzym imieniu!

- Co cię tu sprowadza? - spytała chłodno.

- Obawiam się, że sprawa jest poważna. Na nadmorskiej drodze przy światłach był duży karambol, jest wielu rannych, kilka osób odniosło poważne obrażenia. Ratownicy są już na miejscu, szpital został postawiony w stan alarmowy, ściągają lekarzy z całej okolicy. Ponieważ nie mogli się z tobą skontaktować telefonicznie, a ja wiedziałem, że w porze lunchu miałaś zajrzeć do domu, więc obiecałem, że wstąpię do ciebie po drodze.

- O Boże! Więc mamy się natychmiast zgłosić do szpitala? - Zrobiło się jej głupio, że jeszcze przed chwilą tak ją zaprzętały dawne urazy. - Mam nadzieję, że się na coś przydam, chociaż od lat nie miałam do czynienia z ofiarami wypadków drogowych.

- Na pewno się przydasz. Przypomnij sobie, że w czasie stażu znakomicie sobie radziłaś na ratunkowym.

- Ale to było sześć lat temu.

- To nie ma znaczenia, uwierz mi.

- Obyś miał rację. Postaram się wyruszyć jak najszybciej, ale nie ma sensu, żebyś na mnie czekał. Swoją drogą, chociaż tu pracuję od lat, szpital nigdy nie wzywał na pomoc lekarzy rodzinnych.

- Sytuacja chyba rzeczywiście jest wyjątkowa. Jednak nie musisz strasznie się spieszyć, bo na razie ratownicy pracują na miejscu wypadku. Na pewno minie przynajmniej kwadrans, zanim karetki dowiozą rannych do szpitala.

Gdy szybkim krokiem szedł do auta, wciąż miał przed oczami jej obraz. Uroda Sally niemal powaliła go z nóg, na widok sukni ślubnej kroilo mu się serce.

Ze złością zatrzasnął za sobą drzwi i przekreślił kluczyk w stacyjce. Gdyby tylko...

Gdyby pochodził z innej rodziny, gdyby umiał udawać, że tego nie widział. Ta koszmarna scena znów z całą wyrazistością stanęła mu przed oczami. Przewrócony rower na poboczu drogi, kilkunastoletnia dziewczyna wyrzucona do góry spada ciężko na maskę samochodu, który ją potrafił. Jeszcze dzisiaj słyszy ten krzyk. Jej krzyk nagle się urywa. Po krótkiej chwili ciszy samochód rusza z rykiem silnika. Ten odgłos cichnie w oddali, dziewczyną leży nieruchomo.

To wspomnienie ciągle do niego wracało, by mu przypominać, że nigdy nie będzie mógł się ożenić. Jest ono także przestroga, że może skończyć, jak jego ojciec.

- Skoro cię pilnie wzywają - powiedziała Sue - pomogę ci ściągnąć suknię i odwieszę ją na miejsce, a ty nie czekając na mnie, ruszaj w drogę. Bądź spokojna, zamknę drzwi, a klucze wrzucę do skrzynki na listy.

- Wielkie dzięki. W takim razie zobaczymy się dopiero w dzień weselny. Czy dasz radę rano pomóc mi się wyszykować? I moim druhom?

- Jasna sprawa, nie przepuściłabym takiej okazji. I niczym się nie martw, będziesz najpiękniejszą panną młodą na świecie!

Gdy Sally jechała do szpitala, lalo jak z cebra, toteż wycieraczki w jej aucie pracowały na najszybszych obrotach. Jeśli szpital wzywa lekarzy rodzinnych, sytuacja musi być bardzo poważna. Oby tylko Jack miał rację, że będzie z niej pożytek.

Przy skrzyżowaniu nad morzem zebrał się tłum ludzi, ale policja odgrodziła już miejsce wypadku. Tuż za światłami zobaczyła wraki kilku samochodów i stojący na poboczu autobus z wgniecionym tyłem. Dwa pojazdy zderzyły się na skrzyżowaniu, inne prawdopodobnie nie zdołały wyhamować.

Sally minęła trzy karetki, auta policyjne i wóz strażacki. Policjanci i strażacy rozcinali karoserie aut, by ratownicy mogli wyciągnąć ofiary.

- Przepraszam, musi pani zawrócić, droga jest zamknięta! - zawołał do niej jeden z policjantów, zatrzymując ją lizakiem. - Przepuszczamy tylko karetki.

- Jestem lekarzem, wezwano mnie do szpitala.

- Rozumiem. Mamy wielu rannych.

- Czy wiadomo, jak doszło do tego wypadku?

- Nie jest to jeszcze potwierdzone oficjalnie, ale ze wstępnego dochodzenia wynika, że pijany kierowca chciał przejechać na czerwonym świetle. Bardzo mu się spieszyło.

Do mającego fasadę w stylu wiktoriańskim starego budynku szpitalnego w Crannoch dobudowano skrzydła. Choć władze lokalne od lat zapowiadały budowę nowego szpitala, dotąd nic się w tej sprawie nie działo. Sally zostawiła samo-

chód niedaleko głównego wejścia, po czym pobiegła przez parking na oddział ratunkowy. Na podjeździe stało kilka karetek. Z bijącym sercem patrzyła, jak ratownicy transportują rannych do środka.

Kilku policjantów stojących przy recepcji czekało, by przesłuchać lżej poszkodowane ofiary. Pielęgniarka dyżurna wyjaśniła jej, że akcją ratunkową kieruje doktor Hallam i poprosiła ją, by zgłosiła się do niego.

- Sytuacja jest bardzo poważna - dorzuciła jeszcze. - Karetki przez cały czas dowożą nam nowe ofiary.

Na korytarzu pielęgniarze w pośpiechu pchali wózki z aparaturą do kroplówek i butlami tlenu.

- Świetnie, że jesteś, Sally, dzisiaj potrzeba nam wszystkich rąk do pracy - rzekł na powitanie przysadzisty doktor Hallam.

Poznała go na szkoleniach dla lekarzy rodzinnych z ratownictwa. Mówiło się o nim, że nigdy nie traci zimnej krwi.

- Mamy liczne złamania kończyn, w tym wiele otwartych, pacjentów z obrażeniami głowy, urazami kręgosłupa i urazami wielonarządowymi. Skoro Jack McLennan jest twoim kolegą, dołącz, proszę, do niego. W tej chwili zajmuje się pacjentką na bloku przedoperacyjnym.

A więc zatoczyło się koło, na stażu też pracowali razem na ratunkowym, uzmysłowiła sobie, wchodząc do niewielkiej sali przedoperacyjnej. Na widok Jacka, który pochylał się nad leżącą pacjentką, miała wrażenie, jakby czas cofnął się o kilka lat. Tyle tylko, że dzisiaj poza sprawami zawodowymi nic ich nie łączyło.

Stojąca obok niego pielęgniarka była młoda, bardzo jeszcze młoda, pomyślała Sally, a Jack, który osłuchiwał ranną, wyprostował się na dźwięk otwieranych drzwi.

- Doktor Lawson, to jest Lucy, studentka pielęgniarstwa, która została wezwana z pediatrii, gdzie odbywa praktykę. To jej debiut na ratunkowym.

- Szybko się pani tutaj odnajdzie – powiedziała Sally, by dodać otuchy wyrażnie spiętej dziewczynie.

- Pani Géraldine Foster ma pięćdziesiąt cztery lata - ciągnął Jack. - Podejrzewamy złamanie kości udowej, piszczelowej i uraz kręgow szyjnych. Potwierdzą to prześwietlenia warstwowe.

Kobieta podłączona do kroplówki i aparatury monitorującej pracę serca była w głębokim szoku, ale przytomna. Drżała, miała poszarzałą twarz, prowizoryczny opatrunek na policzku, a szyję zabezpieczoną kołnierzem ortopedycznym.

Te obrażenia są bardzo bolesne, Sally pomyślała ze współczuciem. A do tego dochodzi szok powypadkowy i zwyczajne ludzkie przerażenie. Przed godziną ta kobieta prowadziła normalne codzienne życie, by nagle znaleźć się w nieznanym jej świecie szpitalnym. Wśród obcych ludzi i pod aparaturą, w świecie bólu i cierpienia.

Jack delikatnie dotknął dłoni leżącej kobiety i powiedział uspokajająco:

- Wszystko będzie okej, jest pani w dobrych rękach. Za chwilę zaczniesz działać środek przeciwbólowy, który jest lepszy od szampana. Zrobimy pani prześwietlenia, niewykluczone, że potrzebna będzie tomografia. Moja koleżanka, doktor Lawson, pobierze pani krew. Ona jest prawdziwym wampirem, więc działa bez-

boleśnie i pani niczego nie poczuje. A my dowiemy się z morfologii wielu ważnych rzeczy, na przykład, jaką ma pani grupę krwi. Ale przedtem doktor Lawson poda pani jeszcze jedną dawkę uśmierzającej ból diamorfiny.

- Tak, doktor McLennan ma rację, to jest lepsze niż szampan - powiedziała Sally, zakładając rękawiczki. - Pięć miligramów? - zwróciła się do Jacka.

- Tak, to powinno wystarczyć - odparł cicho. - Ona jest w ciężkim szoku - dodał niemal szeptem - więc uzupełniamy kroplówką płyny ustrojowe. Spróbuj ją jakoś uspokoić, a ja tymczasem skon- taktuję się z pracownią rentgenowską. Prześwietlenia trzeba zrobić, zanim oddamy ją chirurgowi ortopedzie.

Sally delikatnie pobrała pacjentce krew do kilku ampulek, po czym zwróciła się do Lucy:

- Jak pani wiadomo, szok powoduje zmiany chemiczne w składzie krwi, więc poza określeniem grupy musimy ustalić poziom hemoglobiny, kreatyniny i elektrolitów. Proszę te próbki zanieść do laboratorium i powiedzieć im, że to pilne - dodała, podając ampułki pielęgniarce.

- Czy pamięta pani, co się właściwie stało? - spytała pacjentkę.

- Nie, to były sekundy - szepnęła kobieta, lecz po chwili dodała z niepokojem: - O Boże! Przecież ja jechałam po raz pierwszy... byłam w drodze do nowej pracy u starszej pani nad morzem. I nie dotarłam... Ona nie wie, że miałam wypadek.

- Widzę, że znieczulenie zaczęło działać - wtrącił Jack, który wrócił właśnie z pracowni rentgenowskiej.

- Jeśli pani sobie tego życzy, osobę, do której pani jechała, powiadomimy o wypadku .

- Tak, będę wdzięczna. Bardzo cieszyłam się na tę pracę. Miałam pomagać starszej pani. Ona nazywa się Hilda Brown i mieszka w pięknym domu nad morzem.

Jack i Sally popatrzyli na siebie ze zdumieniem.

- Świat jest mały - zauważył Jack. - Tak się składa, że znamy panią Brown.

- Powiadomimy ją, oczywiście, niech pani będzie spokojna. Na razie pani Hilda na pewno znajdzie sobie kogoś na zastępstwo, proszę się nie martwić. A po powrocie do zdrowia wróci pani do niej do pracy.

- Ale kiedy to będzie... Boję się, że nigdy nie dojdę do siebie...

- Trzeba być dobrej myśli - powiedział Jack. - Proszę mi wierzyć, dzisiejsza medycyna potrafi zdziałać cuda.

Gdy pielęgniarze wywieźli panią Foster na prześwietlenie, dodał jednak:

- Rzeczywiście, czeka ją długie leczenie i rehabilitacja. Ale i tak miała szczęście, mogło być gorzej. Czy wiesz, co tam się właściwie stało na tych światłach?

- Jeden z policjantów mówił mi, że ktoś chciał przejechać na czerwonym po pijanemu.

- Mam nadzieję, że dobiorą mu się do skóry - rzucił Jack z wściekłością. - Ale i tak kary dla tych pijaków są zbyt łagodne. Trzeba by im jeszcze pokazywać ofiary, żeby zobaczyli na własne oczy, czym to się kończy!

- Niestety, jazda po pijanemu nie należy do rzadkości - powiedziała, lekko zdziwiona jego furią.

- Wiem, że emocje należy trzymać na wodzy, ale kiedy o tym słyszę, trafia mnie szlag. Ilu ludzi ginie z winy pijanych kierowców, ilu do końca życia zostaje inwalidami. I często mijają lata, zanim ofiary podniosą się psychicznie albo nigdy się nie podnoszą. Nic nie usprawiedliwia jazdy po pijaku.

To prawda, pomyślała Sally, ale na oddziałach ratunkowych nie brakuje też ofiar przemocy, bezmyślności, narkotyków. Ciekawe, dlaczego Jack reaguje tak żywiołowo akurat wtedy, gdy chodzi o pijanych kierowców...

W tym momencie zajrzał do nich doktor Hallam.

- Na reanimacji brakuje lekarzy, a karetka przywiozła właśnie kolejną ofiarę w stanie krytycznym.

Ratownicy wwieźli pacjenta na OIOM niemal biegiem. Nieprzytomny mężczyzna obficie krwawił, ciemna plama na kocu, którym był przykryty, powiększała się w oczach. Natychmiast podłączono go do aparatury monitorującej funkcje życiowe, a Jad zaklął pod nosem.

- Biegnij do banku krwi - krzyknął do pielęgniarki - i natychmiast wezwij anesteziologa do intubacji.

Po chwili zaklął głośniej, mówiąc:

- Czuję od niego alkohol.

- Nie zakładaj z góry, Jack, że to jest sprawca - odparła cicho Sally.

- Ja tylko mówię, że ten pacjent pił.

Gdy podniósł koc, stojąca w pobliżu Lucy wydała cichy okrzyk przerażenia. Z otwartej tętnicy udowe dosłownie buchała krew. Sally na moment zrobiło się ciemno w oczach. Boże, czy ja dam sobie z tyradę, pomyślała w popłochu. Spojrzała na Jacka, który sprawnie przygotowywał kroplówkę z solą fizjologiczną. I wtedy poczuła nagły przyływ adrenaliny. Tak jak ją nauczono przed laty na stażu, zmusiła się, by opanować panikę i wyłączyć emocje. Poblada Lucy stała jak sparaliżowana.

- Ja nie wiem... ja nigdy nie... - szeptała z przerażeniem dziewczyna.

- Więc przejdiesz chrzest bojowy, patrz i się ucz - powiedziała Sally, szukając u pacjenta żyły, by podłączyć kroplówkę. – Po pierwsze, musimy zatamować krwotok - ciągnęła, by uspokoić Lucy - bo jeśli chory straci zbyt dużo krwi, nie da się go odratować. Podaj mi to, proszę - powiedziała, wskazując na kleszczyk i opatrunek uciskowy leżący na tacy z instrumentami. - Teraz - dodała, sprawnie opatrując tętnicę - trzeba będzie zapewnić drożność oddechową i uzupełnić płyny ustrojowe. W przypadku wstrząsu krwotocznego to są trzy najważniejsze sprawy, ale zawsze zaczynamy od zatamowania upływu krwi.

Gdy do sali wbiegł anestezjolog i personel pomocniczy, dziewczyna cofnęła się o parę kroków od łóżka. Anestezjolog wprowadził choremu rurkę intubacyjną do tchawicy, a Jack, który osłuchiwał mu klatkę piersiową, zapytał:

- Ciśnienie i tętno?

- Osiemdziesiąt na trzydzieści i spada, tętno sto trzydzieści pięć - odparł anestezjolog. - Trzy punkty w skali Glasgow, pacjent nie reaguje. Wstrząs hipowolemiczny wskutek krwotoku wewnętrznego. Trzeba go jak najszybciej przenieść na operacyjny i otworzyć. Natychmiast wezwij stamtąd pielęgniarkę dyżurną! - anestezjolog krzyknął do sanitariusza.

Na dwoje babka wróżyła, pomyślała Sally, ale jeśli dzięki płynom ustrojowym ustabilizuje się pracę organów wewnętrznych, może uda się go uratować. Nagle poczuła, że po plecach spływa jej pot i niemal mdleją kolana.

- Ciśnienie rośnie, tętno miarowe - relacjonował Jack. - Stan ustabilizowany, można go przewieźć do sali operacyjnej, żeby zlokalizować krwotok wewnętrzny.

Po kilku godzinach większość pacjentów oddziału ratunkowego skierowano już na chirurgię, ortopedię i inne oddziały. Boże, co za dzień! Sally słaniała się ze zmęczenia, ale miała też poczucie satysfakcji. Tego dnia uratowali życie wielu ludziom, a ona, o dziwo, jakoś potrafiła się w tym wszystkim odnaleźć.

Powoli wyszła na niewielkie patio, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Zbliżał się wieczór; deszcz przestał padać, gdzieś w oddali śpiewał ptak. Ciężko przysiadła na ławce i przymknęła oczy.

- Próbujesz dojść po tych przejściach do siebie? - zapytał Jack, wrywając ją z letargu. - Ja też ledwo żyję - dodał z uśmiechem zmęczenia.

- Aż wierzyć się nie chce, że na co dzień mieliśmy taki młyn. W porównaniu z tym praca lekarza rodzinnego wydaje się bajką.

- Ale za to oni nie mogą tu narzekać na nudę i brak satysfakcji zawodowej.

Usiadł koło niej, rozprostował nogi, a ręce podłożył pod głowę. Po chwili milczenia powiedział cicho:

- Mam wrażenie, że wróciły stare dobre czasy. Zupełnie już zapomniałem, ile adrenaliny wymaga ta robota...

Popatrzył na nią, po czym delikatnie odgarnął jej kosmyk z czoła i pogłaskał ją pod brodą. Zatopieni we wspomnieniach przez dłuższą chwilę siedzieli bez ruchu. Jego błękitne oczy jakby lekko pociemniały w zadumie.

- Sama przyznaj, że stworzyliśmy dzisiaj zgrany tandem. Zresztą chyba zawsze nam się dobrze razem pracowało.

- To prawda - potwierdziła ledwie słyszalnym głosem.

Od tamtego czasu on prawie się nie zmienił fizycznie, niemal nie postarzał. Ze swymi niebieskimi, śmiejącymi się oczami i gęstą czupryną wciąż jest niesamowicie przystojny... Sally poczuła nagle nieprzeparte pragnienie, by go pocałować, by znów poczuć smak jego ust, namiętnych i rozpalonych.

Na chwilę przymknęła oczy, marząc, by czas cofnął się o sześć lat. Gdy po ciężkich dyżurach wracali do domu, ile to razy kochali się na podłodze przed kominkiem? Pamiętała miękki dywan, na którym leżeli nago, zapach palących się polan, dotyk rąk Jacka, pocałunki i pieszczoty. Najpierw całował ją delikatnie, potem coraz śmieiej. I dziś on wciąż budzi w niej pożądanie i doprowadza do drżenia. Tim jeszcze nigdy nie rozbudził w niej takich doznań.

Zerwała się gwałtownie, zła na siebie. Przecież ten człowiek zawiódł ją okrutnie, porzucił bez wyjaśnień, zniknął z jej życia. To przez niego cierpiała boleśnie i długo. Jak on teraz śmie wywoływać wspomnienia? A do tego jeszcze pobudza w niej erotyczne fantazje! Przez niego sprzeniewierzyła się w myślach Timowi, w wyobraźni zdradziła narzeczonego!

- Muszę lecieć. - Zerknęła nerwowo na zegarek. - Tim zabiera mnie dziś na kolację, a przedtem chcę się odprężyć w wannie.

Za kierownicą nie odzyskała jednak spokoju. Męczyła ją gonitwa myśli i natłok sprzecznych uczuć. Jeśli kocha Tima, to dlaczego Jack tak na nią działa? Dlaczego tak ją podnieca? I dlaczego, do jasnej cholery, ona sobie na to pozwala? Przecież wychodzi za mąż, przecież dawno wykreśliła Jacka ze swego życia! Powinna gardzić tym facetem, nie zawracać sobie nim głowy...

TLR

ROZDZIAŁ PIĄTY

Wyciągnęła się w wannie z ciepłą wodą, by rozkoszować się kojącym zapachem olejku do kąpieli i czekającym na nią kieliszkiem białego wina. Po kilku dniach rozłąki wreszcie zobaczy Tima, w końcu porozmawiają w cztery oczy o przygotowaniach weselnych, a ona zapomni o tym idiotycznym podnieceniu, jakie wywołał w niej Jack.

Ostatnio prawie się z Timem nie widywali i brakowało im chwili na intymne spotkania. Obydwoje byli, rzecz jasna, bardzo zajęci, ale im bliżej ślubu, im bardziej pochłaniały ich przygotowania do tej uroczystości, tym mniej mieli czasu dla siebie i... Co? Czyżby naprawdę coraz mniej tęskniła za Timem?

Przestań się zamartwiać, przywołała się do porządku. Czy ty zawsze musisz sobie znaleźć jakiś problem? Zamiast się cieszyć, szukasz dziury w całym! Nie bądź idiotką!

Z ociąganiem wyszła z wanny i owinęła się ręcznikiem. Po chwili zastanowienia ubrała się w granatowe spodnie i jasnoróżową bluzkę z jedwabiu. Tim bardzo ją lubi, zrobię mu przyjemność, pomyślała, szczotkując włosy przed lustrem. Na

widok cieni pod oczami westchnęła ciężko. Popatrz tylko, jak ty wyglądasz po jednym popołudniu w szpitalu!

Kiedy usłyszała odgłos otwieranych drzwi, wiedziała, że to on.

- Tim, kochanie! - zawołała z nieco wymuszoną radością, wybiegła do przedpokoju i rzuciła mu się na szyję.

On uściskał ją, jednocześnie mówiąc coś cicho do komórki, po czym uśmiechnął się do niej i delikatnie uwolnił z jej objęć.

- Jak się masz, kochanie - powiedział z lekkim zmieszaniem. - Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że przywiozłem Ritę. Pomoże nam dopiąć na ostatni guzik różne drobiazgi związane ze ślubem...

Sally dopiero wtedy dostrzegła, że za plecami Tima stoi jego sekretarka. Trzymała teczkę w dłoni i uśmiechała się z zakłopotaniem. W obcisłej czarnej sukience i brązowym lnianym żakiecie wyglądała elegancko i profesjonalnie.

- Nie chcę przeszkadzać, ale uznałam, że nadarza się dzisiaj okazja, żeby się naradzić - powiedziała. - Przyrzekam, że jak tylko skończymy, zostawię was samych.

Sally zagryzła usta. Inaczej wyobrażała sobie ten wieczór. Na to spotkanie czekała od kilku dni, a Tim powinien ją uprzedzić, że zaprosi Ritę. Szkoda, że jej o tym wcześniej nie powiedział. Była zirytowana i czuła się niemal jak piąte koło u wozu.

- Jak rozumiem, Tim, spotykamy się, żeby załatwić sprawy? - powiedziała. - A gdzie wobec tego zjemy kolację?

- Pojedźmy do Drumrig Castle. Tam jest jasno i przestronnie. To odpowiednie miejsce, żeby pogadać.

Ale nie na romantyczną randkę, Sally pomyślała z goryczą. Nie spodziewała się, że o ślubie będą rozmawiać w obecności osób trzecich. Nie, nie mogła zrozumieć, czemu Tim przywiózł dzisiaj Ritę.

Przez całą drogę do Drumrig Castle prawie się w samochodzie nie odzywała, podczas gdy Tim z Ritą gawędzili z ożywieniem. Najwyraźniej mieli sobie bardzo dużo do powiedzenia. Rozmawiali o pracy, o nieznanym jej ludziach i miejscach, opowiadali biurowe anegdoty. Właściwie, zdała sobie sprawę, Tim ma więcej do powiedzenia swojej sekretarce niż narzeczonej.

Zaczęła chłodno analizować swój związek z Timem. W ciągu ostatnich kilku tygodni narzeczony dwa razy znalazł czas, by się z nią zobaczyć. A z Glasgow nie miał do niej daleko. A dziś, gdyby mu zależało na romantycznym wieczorze z ukochaną, czy zapraszałby tę cholerną sekretarkę? Może się myli, ale odnosiła nieodparte wrażenie, że Tim jej unika i nie chce z nią być sam na sam.

Kiedy byli razem z Jackiem, na widok ukochanego drżała z pożądania. Pragnęła go całą sobą, chciała zapomnieć się w jego objęciach. Nie mogła się tego doczekać. Pragnęli siebie i nie bali się ryzyka! Na myśl o tym nie umiała pohamować uśmiechu. Ile to razy kochali się w pokojach lekarskich, a kiedyś Jack zamknął się z nią w salce konferencyjnej, na drzwiach powiesiwszy kartkę: „Zebranie, proszę nie przeszkadzać”.

- Przecież to prawda - powiedział bez zmruczenia oka, przyciągając ją ku sobie.
- Mamy zebranie, bardzo ważne i fascynujące...

Gdy ktoś zapukał do drzwi, zdążyli już zrzucić ubranie. To naprawdę było podniecające, pomyślała wesoło. Nigdy w życiu nie ubrałam się w takim tempie!

Westchnęła cicho. Na tym właśnie chyba polega

miłość. Poza ukochaną osobą nie widzimy świata. A teraz... Teraz za kilka tygodni ma wyjść za mąż za człowieka, z którym się prawie nie widuje i któremu, zdaje się, ma niewiele do powiedzenia.

Przymknęła oczy, lecz po chwili otworzyła je w panice. Do jasnej cholery, w co ona się pakuje? Nagle zdała sobie sprawę, że nie tylko Tim nie jest w niej szalenie zakochany, ale jej uczucia do niego też są bardzo letnie.

Gdy wysiedli na żwirowym podjeździe przed restauracją, Tim rzucił lekko:

- Ponieważ jutro mam spotkanie bardzo wcześnie rano, wrócę na noc do Glasgow. Nie byłoby sensu tutaj zostawać.

Nie byłoby sensu? Nic dodać, nic ująć, dotknął sedna, pomyślała, wzruszając lekko ramionami. Oboje byli o krok od popełnienia największego błędu w życiu.

Rozległa sala restauracyjna była jasno oświetlona dużymi żyrandolami, na stolikach stały tropikalne kwiaty. Gdy tylko usiedli, Sally poczuła, że dostaje migreny. Do końca wieczoru miała wrażenie, że jest intruzem, który przeszkadza Timowi i Ricie w miłym spotkaniu.

- Udał się wam wczorajszy wieczór? - Jack, który spojrzał na nią znad kubka kawy, nie mógł nie zauważyć, że jest blada i ma cienie pod oczami. - Byliście w jakiejś miłej knajpce?

- Dzięki, że pytasz, było bardzo sympatycznie - odparła, pochylając się nad listem z wydziału zdrowia.

Ale ta korespondencja niewiele ją w tej chwili obchodziła. Wciąż myślała o wczorajszym wieczorze, tak nieudanym, że nie mogła się doczekać, kiedy się skończy. Przy deserze powiedziała, że boli ją głowa i poprosiła Tima o odwiedzenie do domu.

Z chwilą, gdy zauważyła, że Tim bardziej zajmuje się Ritą niż nią, jej uwadze nie umknęły pewne drobiazgi: na przykład, że on czule dotyka dłoni sekretarki i trochę za często na nią zerka. Początkowo uznała, że to paranoja i że przypisuje temu nadmierne znaczenie. Bo Rita nie flirtowała z Timem. Oni po prostu świetnie się czuli w swoim towarzystwie, a to nie musi świadczyć, że mają romans. Nie, ale patrząc na nich, uświadamiała sobie coraz wyraźniej, że narzeczony stał się jej obcy.

Sally nie miała nic przeciwko Ricie. Odwrotnie, wręcz czuła do niej sympatię i podziwiała jej elegancję oraz pogodne usposobienie. Z Timem tworzyliby dopasowaną parę. A gdy potem przez okno w salonie patrzyła, jak ruszają samochodem do Glasgow, czuła jedynie obojętność.

Jakie są tego przyczyny? Co się stało z ich związkiem? Początkowo wydawał się przecież niezwykle udany. Zareczyła się, bywała i podróżowała z Timem. Ale od pewnego czasu narzeczony był tak pochłonięty pracą, że prawie nie miał dla niej chwili. A ona wmawiała sobie, że jest zakochana i pragnie tego małżeństwa. Jej rodzice także sekundowali temu związkowi, szczęśliwi, że córka odnalazła miłość.

Siedziała zaszepiona nad leżącym przed nią listem.

- Jakies złe wieści? - spytał Jack, odstawiając kubek. - Czego od nas chcą w wydziale zdrowia? - dodał, zerkając na kopertę.

- Oni... zawiadamiają nas, że w związku z profilaktyką kardiologiczną musimy do końca miesiąca sporządzić szczegółowe sprawozdanie dotyczące pacjentów, którzy cierpią na choroby krążenia. Obawiam się, że nie damy rady tego zrobić w terminie, a z wydziałem zdrowia nie ma żartów.

- Nie martw się na zapas, damy jakoś radę. Ale powiedz mi lepiej, czy ty się dobrze czujesz? Jesteś bardzo blada.

- Jestem po prostu trochę przemęczona, nie doszłam jeszcze do siebie po wczorajszej pracy w szpitalu - odparła, po czym odwróciła głowę, udając, że patrzy przez okno, bo do oczu napłynęły jej łzy.

- Co się stało, Sally? - spytał, delikatnie ujmując jej podbródek. - Spójrz mi w oczy, przecież widzę, że coś jest nie tak.

Przez chwilę kusilo ją, by wyrzucić z siebie, że jej związek nie jest romantyczną idyllą. Ale zagryzła usta. Nie, nie zamierza mu się zwierzać, pokazał jej przecież dobitnie, że nie liczy się z jej uczuciami. Jack McLennan jest ostatnią osobą na świecie, przed którą mogłaby się otworzyć. Zresztą na pewno by ją zbył, mówiąc, że go to nie dziwi, bo zauważył na pierwszy rzut oka, że ona i Tim nie pasują do siebie.

- Nic się nie stało! - mruknęła z irytacją, zrywając się zza biurka. - Bardzo cię proszę, odczep się ode mnie. Czuję się doskonale, więc daj mi święty spokój, tym bardziej że za chwilę zaczynamy zebranie.

- W porządku, nie będę... - Urwał, słysząc pukanie do drzwi.

Do pokoju weszły Joyce, Sharon i pielęgniarka Sula Janes, a wkrótce po nich Bob Hedley, kierownik administracyjny, niewysoki, szczupły, w okrągłych okularach.

- Nasze spotkanie nie potrwa długo, tym bardziej że za pół godziny zaczynacie pracę - powiedział Bob z uśmiechem, otwierając aktówkę. - Jak zwykle mamy parę spraw finansowych, zwłaszcza kwestię refundacji leków. Poza tym Sula ponawia swój wniosek o zatrudnienie jeszcze jednej pielęgniarki. Ale przede wszystkim chciałbym oficjalnie powitać Jacka McLennana. Bardzo się cieszymy, że Jack do nas dołączył i że pod nieobecność Sally, która, jak wiemy, wkrótce wybiera się w podróż poślubną, przejmie jej pacjentów. O ile pamiętam, wyjeżdżasz za cztery tygodnie? - zwrócił się do niej.

- Tak - potwierdziła po sekundzie wahania, zmuszając się do uśmiechu.

Myśl o ślubie zaczęła budzić w niej panikę. Co ja właściwie mam robić, myślała gorączkowo. Skoro to tak ją przeraża, powinna jak najszybciej odwołać całą sprawę, bo potem będzie za późno.

Dopiero pod dłuższej chwili zdołała zmusić się do skupienia. Przez parę minut omawiali sprawy związane z profilaktyką chorób krążenia, refundacją leków, wizytami nocnymi, a na koniec poruszyli problem kontraktu z firmą sprzątającą przychodnię.

- Wydaje mi się, że została nam jeszcze tylko kwestia dorocznej kolacji dla pracowników - dodał Bob. - Jak ustaliliśmy na poprzednim spotkaniu, nie będziemy jej robić w okresie bożonarodzeniowym, kiedy wszyscy mają urwanie głowy. Co wy na to, żeby się spotkać jeszcze przed urlopem Sally? Nawiasem mówiąc - zwrócił się do Jacka - te kolacje odbywają się tylko w naszym gronie,

bez udziału rodzin. A w tym roku mielibyśmy też okazję, żeby się pożegnać z naszą Sally...

- Myślę, że to świetny pomysł - powiedziała Sharon. - Słyszałam, że na Hersie otworzyli nową knajpę włoską, nazywa się La Famiglia. Podobno jest tam super, mają świetne jedzenie, jest muzyka i można potańczyć. Z transportem nie byłoby kłopotu, bo wieczorem promy kursują bardzo często.

- Potańczyć? - Joyce powtórzyła z niepokojem. - A nie jest tam za głośno?

- Ani trochę, moja droga. I będziesz wyglądać bombowo w tej kiece, którą ci wczoraj pokazałam w katalogu. Zaraz ją zamówimy. Lubi pan tańczyć, panie doktorze? - Sharon spytała Jacka.

- Jasne, że tak. Kiedyś bardzo dużo tańczyłem... W tym momencie, prawdopodobnie bezwiednie, popatrzył na Sally. To przelotne spojrzenie wyzwoliło w niej falę smutku i złości na wspomnienie balu, po którym z nią zerwał. Tańczyli do późna w nocy, bawiła się cudownie, był dla niej tak czuły... Myślała, że jest najszczęśliwszą kobietą na świecie, ale on oznajmił jej nagle, że ją rzuca. I to dla kariery! A teraz jeszcze ośmiela się wspominać o tańcach!

No cóż, wygląda jednak na to, że popełniła kolejny błąd, zaręczając się z człowiekiem, który jej prawdopodobnie nie kocha, a ona też zaczyna sobie uświadamiać, że nie jest w nim zakochana.

- A więc postanowione, zrobię tam rezerwację na przyszły tydzień. - Głos Boba wyrwał ją z zamyślenia. - W takim razie na dziś nie mamy już żadnych spraw.

Ta impreza to ostatnia rzecz, na jaką miała ochotę. Musiała przemyśleć związek z Timem i potrzebowała spokoju. Cichy sygnał komórki w kieszeni zakietu tego jednak nie zapowiadał. Na ekranie wyświetliła się wiadomość od jej matki:

„Kochanie, chyba wreszcie wybrałam sobie strój na wesele, ale zanim go kupię, chciałabym, żebyś to zobaczyła. Dasz radę przyjechać w weekend?”.

Miała wrażenie, jakby na gardle zaciskała się jej jakaś pętla. Wstała i wolno podeszła do okna. Nie, nie będzie z tym zwlekać ani chwili, natychmiast zadzwoni do Tima. Nie będzie mu wysyłać wiadomości tekstowej. Musi z nim porozmawiać. Im dłużej o tym myślała, tym lepiej widziała, że byłoby to jedynie małżeństwo z rozsądku.

Chwyć byka za rogi, nie wolno ci tego przeciągać, pomyślała, naciskając jego numer w komórce.

- Sally? Coś się stało? - spytał z niepokojem. - Nigdy nie dzwonicz o tej porze.

- Musimy się spotkać, Tim, jak najszybciej. Chcę, żebyś był wobec mnie szczery, bo mam wrażenie, że ostatnio...

- Sal, zrozum, w tej chwili nie mogę swobodnie rozmawiać, nie jestem sam.

- Wobec tego przyjadę do ciebie wieczorem. Muszę z tobą porozmawiać. Im szybciej, tym lepiej.

- Skoro nalegasz...

- Tak - odparła. - Wpadnę do ciebie o ósmej.

Z okien eleganckiego salonu Tima rozciągał się wspaniały widok na rzekę. Bardzo tu ładnie, pomyślała Sally, spoglądając na nowoczesne obrazy na ścianach, po czym usiadła z filiżanką kawy na miękkiej, obitej czarną skórą kanapie. Ale zupełnie nie w moim guście.

Tim, który z drinkiem w dłoni usadowił się w fotelu naprzeciwko niej, spoglądał na nią w napięciu.

- Powiedz mi, proszę, w czym rzecz – zaczął z niepokojem.

- Chciałabym się dowiedzieć, co ty tak naprawdę do mnie czujesz - odparła bez owijania w bawełnę. - Bo widzisz, odnoszę wrażenie, że ostatnio... bardzo się oddaliliśmy od siebie.

- Wiem o tym, Sal, i jest mi przykro z tego powodu - odparł po chwili milczenia. - Myślałem, że jest nam dobrze z sobą i uwierz mi, bardzo pragnąłem tego małżeństwa. Wierzyłem, że stworzymy udany związek.

- Ja też w to wierzyłam. Może tak się nam wydawało, bo i tobie, i mnie doskwierala samotność. Ale sam chyba widzisz, że się pomyliliśmy. Nie mam do ciebie o to żalu, ale podejrzewam, że w twoim życiu pojawiła się inna kobieta.

Tim podniósł się z fotela i podszedł nerwowo do okna.

- Nie wiedziałem, jak ci o tym powiedzieć, ale widzę, że domyśliłaś się sama... Rita i ja, no cóż, tak się złożyło, że wspólna praca zbliżyła nas do siebie... Właściwie nie tyle praca - dodał ze smutnym uśmiechem - co przygotowania do ślubu. Okazało się, że mamy podobne gusta i pomysły.

- A przy okazji zrozumiałeś, że my do siebie nie pasujemy - Sally weszła mu w słowo.

- Nie chciałem cię zranić, czułem, że nie mogę się wycofać. Ze względu na ciebie i twoich rodziców. Szczerze wierzyłem, że te przygotowania do ślubu jakoś scalą nasz związek.

Tim nie jest złym człowiekiem, chciał mi oszczędzić przykrości i bólu. W odróżnieniu od Jacka, który nie przejmował się moim cierpieniem, pomyślała z goryczą. Oznajmił mi o zerwaniu, nie przebierając w słowach.

Tim nalał sobie następnego drinka, po czym podszedł do niej.

- Jest mi strasznie przykro. Wierzyłem, że jesteśmy dwojgiem samotnych ludzi i pasujemy do siebie idealnie. Nie sądziłem, że nam się nie ułoży. Naprawdę.

Uśmiechnęła się do niego z ulgą - wreszcie umieją zdobyć się na szczerłość.

- Wiem o tym i nie mam do ciebie żalu. Wydaje mi się, że żadne z nas nie przemyślało poważnie decyzji o małżeństwie. Na szczęście zreflektowaliśmy się w porę i wiemy oboje, że nie jesteśmy stworzeni dla siebie.

Sally podniosła się i pocałowała go w policzek, po czym ściągnęła pierścienek z ogromnym diamentem i położyła go na stoliku.

- Jest piękny, ale ci go zwracam, bo powinieneś go podarować komuś, kto cię naprawdę kocha.

- Sally, nie chcę, żebyś mi go oddawała.

- To nie podlega dyskusji, Tim. Czas na mnie - powiedziała z uśmiechem, podnosząc płaszcz z oparcia kanapy. - Ale się nie żegnam, bo mam nadzieję, że się będziemy widywać. Był czas, że świetnie się razem bawiliśmy i zależy mi na przyjaźni z tobą. I oczywiście, życzę ci szczęścia.

- Cudowna z ciebie dziewczyna, Sally. Zresztą zasługujesz na kogoś lepszego niż ja. Jak znajdziesz odpowiedniego faceta, bardzo cię proszę, zaproś mnie na wesele.

Więc tyle to trwało. Wystarczył kwadrans, żeby powiedzieć sobie prawdę i zerwać zaręczyny, pomyślała w drodze powrotnej do domu. Co za ulga, nie będzie już musiała niczego sobie wmawiać i udawać przed sobą, że cieszy ją perspektywa zbliżającego się ślubu.

Zarazem jednak czuła pustkę i smutek. Znowu jest sama i za żadne skarby nie chce usłyszeć od Jacka, że widać było gołym okiem, że Tim nie jest dla niej odpowiednim facetem.

KLIP

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Ile osób zapisało się na popołudnie, Joyce? - zapytała Sally.

Tego ranka jeden z pacjentów uderzył przy parkowaniu w tył jej samochodu, a w warsztacie nie umieli powiedzieć, jak długo potrwa naprawa.

- Trzy czy cztery, bo przyjmowałam zapisy tylko w nagłych sprawach. Mówiłaś, że musisz się wreszcie uporać z korespondencją i uaktualnić bazę danych.

Chwała Bogu, pomyślała z ulgą. W takim razie w czasie przerwy na lunch zdążę skoczyć do fryzjera. Powinnam się ostrzyć, nawet jeśli nie zmuszę się do pójścia na kolację w tej włoskiej knajpce.

Wszyscy na pewno będą się świetnie bawić, a jej nie uśmiechało się, że musiałyby silić się na sztuczną radość. Rozstanie z Timem przyniosło jej ulgę, ale jednocześnie nie umiała opanować głębokiego smutku, że znowu jest sama.

Spojrzała na jego fotografię stojącą na biurku. To oczywiste, do facetów nie ma szczęścia! Ale zdążyła przywyknąć do tego, że jest z Timem. Chociaż ostat-

nie prawie się nie widywali, wiedziała, że ma kogoś bliskiego. A teraz to się skończyło.

Włożyła zdjęcie do szuflady. Tym razem, inaczej niż po rozstaniu z Jackiem, nie miała zamiaru rozpaczać całymi miesiącami. I nie będzie uciekać przed światem tylko dlatego, że zerwała z narzeczoną. Ale dziś jest jeszcze za wcześnie na spotkania towarzyskie. Nie umiałyby się dobrze bawić, więc znajdzie jakiś pretekst, żeby się wymigać od tej kolacji.

O zerwaniu zaręczyn nie powiedziała jeszcze nikomu poza rodzicami. Poczekaj z tym parę dni, bo na razie sprawa jest za świeża. Najpierw musi sama przetrwać to wszystko w spokoju. I z całą pewnością nie będzie się zwierzać Jackowi. Za nic w świecie nie zamierza mu dawać powodów do satysfakcji.

Całe szczęście, że ma już za sobą rozmowę z rodzicami. O dziwo, przyjęli tę wiadomość ze spokojem. Bez większego trudu umiała ich przekonać, że w małżeństwie z Timem nie byłaby szczęśliwa. Ojciec uściśnął ją mocno, mówiąc:

- Jestem święcie przekonany, moje dziecko, że wkrótce spotkasz swoją drugą połówkę! Ale szczerze mówiąc, tobie i tak nikt nie dorasta do pięt.

- Wybierasz się na imprezę? - spytał ją Zac, fryzjer, kończąc modelowanie grzywki.

- Miałam iść na kolację do La Famiglia na Hersie, ale jakoś mi się nie chce, więc nie wiem, co zrobić.

- Idź koniecznie, w końcu należy ci się jakiś oddech. Tam jest naprawdę bardzo fajnie, mają pyszne jedzenie i grają włoską muzykę. To takie klimatyczne miejsce.

Sally uśmiechnęła się słabo, widząc w wyobraźni, jak Bob Hedley prosi ją na parkiet do jakiegoś nastrojowego kawałka. Bo o tańczeniu z Jackiem nawet nie ma mowy.

- Wyglądasz rewelacyjnie - dodał Zac, spoglądając na nią w lustrze. - Miłego wieczoru.

To nie ulega wątpliwości, Charlie Fleming ma odrę! Świadczyła o tym charakterystyczna wysypka na szyi i klatce piersiowej.

- Jest pani pewna, doktor Lawson? – spytała z niepokojem pani Fleming, która oprócz Charliego miała jeszcze dwójkę dzieci.

- Otwórz buzię, kochanie, zobaczymy, co tam się dzieje - powiedziała Sally. - No tak, te białe wykwyty na dziąsłach, zwane plamkami Koplika, potwierdzają, że to odra. Poprosimy więc mamę, żeby cię na kilka dni położyła do łóżka. Ważne, żeby Charlie dużo pił - Sally zwróciła się do pani Fleming. - Objawy powinny ustąpić w ciągu tygodnia, ale gdyby coś panią zaniepokoiło albo synek zaczął kaszleć, proszę się z nami skontaktować.

Obawiam się, że to nie skończy się na jednym przypadku, pomyślała po ich wyjściu. Charlie ma rodzeństwo i chodzi do przedszkola, a odra jest bardzo zaraźliwa. O jej wystąpieniu trzeba natychmiast powiadomić wydział zdrowia. A zapowiadało się, że to popołudnie będzie spokojniejsze.

Pomyślała, że po emocjach ostatnich dni przydałby jej się urlop. W jakimś miłym miejscu, ale nie w samotności. I pomyśleć, że niedługo miała jechać w podróż poślubną.

Przestań się rozczulać się nad sobą i lepiej bierz się do roboty, upomniała się w duchu, siadając przy! komputerze. Ledwie zdążyła napisać i wysłać mejla o odrze, rozległo się pukanie do drzwi.

- Podobno ktoś ci skasował samochód, więc może byś chciała, żeby cię podrzucić dziś wieczorem? Będę jechał autem na prom, podobnie jak Bob, ale u niego nie ma wolnego miejsca.

- Dzięki, że pomyślałeś o mnie, ale ja nigdzie się nie wybieram.

- Jak to? Źle się czujesz? Byłaś ostatnio bardzo blada...

- Jestem po prostu przemęczona - przerwała mu z irytacją.

- Ale wieczorne wyjście może by ci dobrze zrobiło. Zapomniałabyś na chwilę o natłoku spraw do załatwienia.

- Nie mam ochoty... - zaczęła stanowczo.

- Wielka szkoda - Jack wszedł jej w słowo, spoglądając na nią z wyrzutem. - Uważam, że powinnaś] przyjść na tę kolację. Wszyscy chcemy ci złożyć życzenia szczęścia na nowej drodze życia.

- O Boże! - zawołała.

- Sally? - Jack obszedł biurko, by dotknąć jej ramienia. - Czy coś się stało? Czy chodzi o Tima?

- Nie wiem, co masz na myśli?

- Może on jest zazdrosny? Może nie chce, żebyś wychodziła bez niego?

- Nie bądź śmieszny, Jack - odparła, biorąc głęboki oddech. - To nie ma związku z Timem, sama decyduję o sobie. Mogę robić, co mi się podoba, ale po prostu...

- Może ty też po prostu uważasz, że nie powinnaś się ruszać bez narzeczonego? - powiedział z uśmiechem.

Sally zaczerwieniła się ze złości.

- Mówiłam ci, że Tim nie ma tu nic do rzeczy.

- Posłuchaj, ja tylko żartowałem!

- Przepraszam, ale jakoś brak mi poczucia humoru - odparła, przymykając oczy, po czym wyrzuciła z siebie: - Zerwaliśmy zaręczyny.

- Co takiego? - zapytał tonem, jakby nie wierzył własnym uszom. - Rozstałaś się z Timem?

- Uznaliśmy, że... nie pasujemy do siebie. Zerwaliśmy zaręczyny, ale pozostaliśmy przyjaciółmi. Tylko mi nie mów, że wiedziałeś, że to się tak skończy!

Po chwili milczenia Jack powiedział:

- Więc postanowiliście odwołać ślub. Nie żałujesz tego?

- Nie, nie żałuję, bo to była słuszna decyzja. Ale, oczywiście, jest mi z tego powodu smutno... i na- prawdę nie chce mi się udawać dziś radości. Bo poza moimi rodzicami jeszcze nikt o tym nie wie. Za dzień czy dwa o tym powiem, ale jeszcze nie czuję się na siłach... bo ta sprawa jest zbyt świeża.

- Rozumiem - odparł, przysiadając na biurku. - Ale moim zdaniem nie powinnaś siedzieć w domu, a poza tym wszystkim byłoby bardzo przykro, gdybyś nie przyszła. W końcu jesteś naszą szefową.

On zawsze miał wielki dar przekonywania, pomyślała z westchnieniem. Jednak kto wie, może Jack ma rację, może zamiast to wszystko rozpamiętywać, powinna się zmusić do wyjścia.

- Zastanowię się nad tym - obiecała.

- Uwierz mi, dobrze ci zrobi, jak trochę się rozerwiesz. Przyjadę po ciebie o siódmej. Umowa stoi. I bardzo cię proszę, nie zmieniaj zdania.

Przyptyw euforii, jaki ogarnął go, gdy wyszedł na korytarz, ustąpił bardzo szybko poczuciu goryczy.

Sally nie wychodzi za Tima. W to, co usłyszał przed chwilą, trudno mu było uwierzyć. Czyli jest wolna i może umawiać się, z kim tylko zechce. Nawet ze mną, pomyślał ze smutkiem. Jaka szkoda, że jak przed laty nie wolno mi myśleć o związku... Ale nie sposób zaprzeczyć, że los po raz drugi chce dać mi szansę.

To, że Sally i Tim się rozstali, w gruncie rzeczy go nie zaskoczyło, bo zauważył, że tych dwoje jakoś do siebie nie pasuje, a ich narzeczeństwo wydawało się właściwie związkiem na odległość. My nie mogliśmy kiedyś wytrzymać bez siebie ani jednego dnia... Uśmiechnął się na wspomnienie dawnych czasów.

A teraz? Teraz kocha ją równie mocno, ale wie, że nigdy nie będzie mu wolno narazić jej na cierpienie. Bo gdyby dowiedziała się, co się wydarzyło w jego rodzinie, jakim straszliwym piętnem obciążył ich jego ojciec, na pewno by cierpiała. Gdyby poznała prawdziwy powód, dla którego rozstał się z nią przed laty, na pewno zobaczyłaby w nim zdrajcę, kogoś, kto się sprzeniewierzył swoim najbliższym.

Sally z westchnieniem spojrzała na zegarek. Skończyła dyżur i szykowała się do wyjścia, ale w progu jej gabinetu stanęła Sharon, mówiąc, że przed chwilą przyszła młoda kobieta, która pilnie potrzebuje porady lekarskiej. Dodała też z nieskrywanym podnieceniem, że nad zatoką kręcą zdjęcia do serialu, a ta kobieta jest gwiazdą filmową.

No cóż, pora powrócić do rzeczywistości, pomyślała Sally. Dość roztrząsania, dlaczego, do diabła, zwierzyła się Jackowi, dlaczego odsłoniła się akurat przed nim! Trudno, stało się i nie da się tego odwrócić! Ale swoją drogą, czy ta wielka gwiazda naprawdę nie może poczekać do jutra?

- Nazywa się Careena Fairfax, na pewno ją kojarzysz - ciągnęła Sharon.

Trudno jej nie znać, pomyślała Sally. Widziałam ją w telewizji, urocza dziewczyna. Jej zdjęć pełno jest w kolorowych pismach, a nie dalej jak wczoraj, gdy ekipa filmowa jechała na zdjęcia, nad morzem zrobił się korek.

- Skoro to pilne, poproś ją, oczywiście.

Careena Fairfax w rzeczywistości okazała się jeszcze piękniejsza niż na fotografiach. W obcisłych dzinsach była szczupła i szalenie zgrabna, jej ciemnoniebieskie oczy wydawały się niemal szafirowe, blond włosy upięła w kok podkreślający delikatny owal twarzy. Ale na policzku miała wyraźną czerwoną pręgę pokrytą drobnymi pęcherzykami.

- Serdecznie dziękuję, pani doktor, że zechciała mnie pani przyjąć. Po południu dostałam bolesnej wysypki na rękach, a teraz to się przeniosło na twarz. Błagam o pomoc, bo jutro z samego rana zaczynamy zdjęcia.

- Zaczniemy od dłoni, bardzo proszę je położyć na biurku - powiedziała Sally, zapalając lampę. - Rzeczywiście, to jest bardzo zaognione, a na skórze tworzą się pęcherzyki, więc nie wątpię, że to boli – dodała ze współczuciem, łapiąc się na tym, że pochopnie podejrzewała Careenę o histerię. - To wygląda jak poparzenie. Czy pani jest na coś uczulona?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Czy pani doktor uważa, że te zmiany są reakcją alergiczną?

- Tak przypuszczam. Proszę mi powiedzieć, czy dotykała pani ostatnio jakichś roślin?

- Dzisiaj kręciliśmy w dolinie nad rzeką, ze dwa kilometry stąd. To miejsce wygląda sielankowo, ale traci urok, gdy się robi dwudzieste ujęcie.

- Podejrzewam, że jest pani uczulona na coś, co tam rośnie, wypiszę więc receptę na leki antyhistaminowe, ale musi pani osłaniać skórę, żeby zapobiec wtórnej infekcji.

- Jest szansa, że to przejdzie do jutra? Jak wspominałam, kręcimy od rana, więc jak najszybciej powinnam doprowadzić się do porządku. Jeśli mi ta wysypka nie minie, trzeba będzie odłożyć zdjęcia, a reżyser i producent tego nie przeżyją.

- Czy pozwoli pani, że poproszę kolegę, żeby na to zerknął? Może on będzie wiedział, co konkretnie wywołało tę reakcję.

Careena nie oponowała, więc Sally zadzwoniła do recepcji.

- Sharon, poproś, proszę, doktora McLennana, żeby zajrzał do mnie, jeśli może.

Gdy po chwili Jack stanął w progu, pacjentka wyraźnie się rozjaśniła. Przy stojny pan doktor doskonale nadałby się do filmu, pomyślała Sally z przekąsem. Do tego jeszcze ten namysł i troska malujące się na jego twarzy. Nic dziwnego, że kobiety tracą dla niego głowę, i ja też dałam się kiedyś nabrać.

- Doktorze McLennan, to jest pani Fairfax.

- Bardzo mi miło i cieszę się, że mamy tak sławną pacjentkę - powiedział Jack, uśmiechając się promiennie. - Słyszałem, że kręcicie film w wąwozie nad rzeką.

- Owszem.

- Poprosiłam pana, doktorze, bo muszę przyznać, po raz pierwszy widzę tak ostrą kontaktową reakcję alergiczną. Proszę popatrzeć na dłonie i policzek pani Careeny. Nie mam pojęcia, co mogło spowodować te pęcherze oparzeniowe. A warto to wiedzieć, tym bardziej że pani Careena, która spędziła cały dzień w dolinie, ma tam jutro wrócić na zdjęcia.

Jack przypatrywał się przez chwilę zmianom skórnym, po czym pokiwał głową, mówiąc:

- Od dłuższego czasu nie miałem z tym do czynienia, ale to wygląda mi na poparzenie barszczem mantegazyjskim. Prawdopodobnie zetknęła się z nim pani nad rzeką. Czy tam rosną wysokie na parę metrów rośliny o dużych jasnych kwiatostanach, grubych łodygach i pierzastych liściach?

- Nad samym brzegiem jest ich cały gąszcz. Musiałam je rozgarniać, żeby dojść do wody. Ale ani nie poraniłam się, ani wtedy niczego nie czułam.

- Do odczynu poparzeniowego dochodzi pod wpływem ultrafioletu, czyli promieni słonecznych, zwykle po godzinie albo dwóch. Nierzadkie są oparzenia

drugiego, a nawet trzeciego stopnia. W Australii, gdzie mieszkałem przez kilka lat, barszcz został uznany za roślinę trującą. Żeby uniknąć groźnych powikłań i trwałych śladów na skórze, z tymi oparzeniami powinna się pani zgłosić do szpitala.

- Proszę, to jest skierowanie - powiedziała Sally po chwili. - O pani chorobie powiadomimy ekipę filmową i ostrzeżemy kolegów, czym grozi kontakt z barszczem.

- O Boże, wygląda na to, że trzeba będzie wstrzymać zdjęcia - powiedziała Careena załamany głosem. - Jeśli przekroczymy budżet, być może w ogóle nie będziemy w stanie skończyć tego filmu, a dla mnie to miała być przecież przepustka do Hollywood! W każdym razie bardzo państwu dziękuję za pomoc - dodała na odchodnym.

- W Europie i obu Amerykach zawleczony z Kaukazu barszcz mantegazyjski występuje od początku dziewiętnastego wieku, w Australii zaczął się rozpleniać dopiero jakieś trzydzieści lat temu – wyjaśnił Jack po wyjściu Careeny. - Olejek eteryczny, który chroni przed owadami liście i łodygę, zawiera związki kumarynowe i jest toksyczny także dla człowieka. Gdy parę dni temu byłem nad rzeką, widziałem tam mnóstwo barszczu.

- Ja też, ale nie miałam pojęcia, że jest aż tak trujący. Biedna Careena...

- U niej te oparzenia nie są na szczęście rozległe, więc powinna szybko dojść do siebie. A wracając do naszych spraw, tak jak się umawialiśmy, wpadnę po ciebie o siódmej.

- Dzięki, ale może nie ma potrzeby, żebyś się fatygował. Przecież mogę pójść do portu pieszo.

- Dajże spokój, to kawał drogi i nie ma sensu się mordować pieszo, a na pewno będziesz w butach na obcasach.

Przyznała mu w duchu rację, tym bardziej że po zejściu z promu musiałaby jeszcze dotrzeć do restauracji.

- W takim razie do zobaczenia - odparła chłodno.

- Może chcesz, żebym cię podrzucił do domu?

- Nie ma takiej potrzeby, teraz, jak widzisz, nie jestem na wysokich obcasach i chętnie się przespaceruję.

Po przejrzaniu garderoby stwierdziła, że większość jej strojów niezbyt nadaje się na dzisiejszy wieczór. Bywała w nich z Timem na oficjalnych przyjęciach w Glasgow, a dziś potrzebowała czegoś lżejszego i swobodniejszego. Ale właściwie dlaczego się tym przejmuje? Przecież to, w co się ubierze, nie ma większego znaczenia. Jednak jeśli będzie ładnie wyglądać, poczuje się lepiej i pewniej. Zrobi to więc dla samej siebie. A poza tym, co tu ukrywać, chce też pokazać Jackowi, że po sześciu latach wciąż niczego jej nie brakuje.

Potrzebuję więc czegoś prostego, ale eleganckiego, w czym nie będzie żadnej ostentacji. Z gorzkim uśmiechem ściągnęła z wieszaka dopasowaną sukienkę z brzoskwiniowego jedwabiu, którą sprawiła sobie niedawno z myślą o podróży poślubnej. Na tę kolację chyba będzie w sam raz. I niech się nie marnuje w szafie, bo chyba nie będzie wielu okazji, by się w nią ubrać.

Włożyła ją i spojrzała w lustro. Leży dobrze, ale czy nie wydaje się trochę za elegancka? Z drugiej strony jest lekka, na ciepły majowy wieczór wprost idealna.

Do dekoltu będzie chyba pasował ten wisiołek z bursztynem. Tak, to wygląda całkiem nieźle, pomyślała, lekko skrapiając perfumami szyję. Włożyła pantofle na wysokich obcasach, które kupiła do tej sukienki, i jeszcze raz obejrzała się w lustrze.

Gdy zadzwonił dzwonek do drzwi, zbiegała na dół, czując nieoczekiwany dreszczyk podniecenia. Nie spodziewała się po sobie takiej reakcji, bo przecież wydawało się jej, że się zmusza do tego wyjścia.

Na widok wysokiej postaci stojącej na ganku serce zabiło jej szybciej. Kiedyś nie mogła się doczekać spotkania z Jackiem. Ale to dawne dzieje. Przywołała się do porządku i zanim otworzyła drzwi, wzięła głęboki oddech.

- Wyglądasz pięknie. - Jack gwizdnął cicho na jej widok. - Powóz czeka - dodał, przepuszczając ją w progu.

W drodze do samochodu zerknęła na niego kątem oka. Zdążyła już zapomnieć, że Jack stawia dwa razy dłuższe kroki od niej. W koszuli rozpiętej pod szyją, granatowej marynarce i jasnych spodniach świetnie się prezentował. W ostatniej chwili złapała się na tym, żeby go z przyzwyczajenia nie wziąć za rękę.

Na promie wysiedli z samochodu, by popatrzeć na morze. Wieczór był pogodny i piękny, powietrze balsamiczne, słońce schowało się za wzgórzami na Hersie, bladobłękitne niebo rozświetlała różowa zorza.

- Popatrz, tam, jeszcze bardziej na lewo – Jack powiedział nagle, po czym jedną rękę położył jej na ramieniu, drugą delikatnie skierował jej głowę w odpowiednią stronę. - Widzisz te drobne, rozchodzące się koncentrycznie fale? Przypatrz się dobrze!

Ten niespodziewany dotyk wywołał w niej dreszcz, każdym nerwem czuła bliskość i ciepło Jacka. Ale po chwili, gdy dojrzała wynurzające się z wody delfiny, zafascynowana ich tańcem zapomniała o swym towarzyszu.

- Jeszcze nigdy nie widziałam ich z tak bliska - szepnęła z zachwytem. - Poruszają się z taką gracją, jakby od dawna ćwiczyły w balecie i chciały się popisać przed nami.

Roześmiali się radośnie, patrząc na te cudowne stworzenia, po chwili jednak Jack zerknął kątem oka na Sally i już nie mógł oderwać od niej wzroku. Od jej profilu, włosów rozwianych na wietrze, smukłej sylwetki w brzoskwińowej sukience.

Trudno się dziwić, że ona wciąż czuje do niego głęboką urazę. Ale przecież właśnie śmiali się razem niemal tak wesoło, jak przed laty. Z westchnieniem zdjął rękę z ramienia Sally. Dobrze będzie, jeśli ona uwierzy, że jest jej przyjacielem.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

La Famiglia, niewielka restauracja prowadzona przez włoskie małżeństwo, okazała się miejscem pełnym uroku. Niewielki zespół grał nastrojową muzykę, na stołach przykrytych obrusami w biało-czerwoną kratkę paliły się świece, na ścianach wisiały zdjęcia z Wenecji, Rzymu i Mediolanu.

Po spotkaniu z delfinami nastrój Sally poprawił się jak za sprawą czarów. Rozluźniona, z przyjemnością przysłuchiwała się żartom i przekomarzaniom Sharon, Boba i Suli. Uwolniona od niepokoju o swój związek z Timem, zaczęła się napawać cudownym poczuciem lekkości i swobody.

Nawet Joyce, choć wzbraniała się początkowo, dała się namówić na wino. Jack, jako jedyny, stanowczo odmówił alkoholu i poprosił o tonik. Trochę to zdziwiło Sally, która pamiętała, że kiedyś uwielbiał piwo.

Przed deserem Bob uniósł kieliszek i odchrząknawszy, powiedział:

- Chciałbym wznieść toast za... - zaczął.

Sally poczuła, że oblewa się rumieńcem. On na pewno będzie mi życzył szczęścia na nowej drodze życia, pomyślała w popłochu, a ja nie mam ochoty psuć wszystkim dobrego humoru, mówiąc, że sprawa jest nieaktualna. Oby tylko nie sprawili mi jakiegoś prezentu ślubnego. Chciała się zapaść pod ziemię, gorączkowo zastanawiała się, co robić, gdy nagle Jack wziął ją za rękę i wyciągnął na parkiet.

- Uznałem, że przyszedł czas, żeby ci przyjść z odsieczą - szepnął jej do ucha, po czym wykonali szybki, niemal akrobatyczny przewrót.

- Dzięki, bo rzeczywiście sytuacja zrobiła się niezręczna.

- Nic się nie martw, do tej pory radziłaś sobie znakomicie, a teraz będziemy tańczyć do upadłego i Bob nie znajdzie chwili na żadne toasty.

Sally odetchnęła z ulgą. Po raz pierwszy od dawna jej głowy nie zaprzętały myśli o zbliżającym się ślubie. I kto by przypuszczał, że będzie się tak świetnie bawić!

Gdy Sula i Sharon wyciągnęły na parkiet Joyce, cała piątka przez dłuższy czas wesoło tańczyła w kółeczku.

- Przez was, dziewczyny, nie będę jutro w stanie zrobić kroku - mruknęła Joyce, wachlując dłonią policzki, kiedy przycichła muzyka.

- Strasznie mi przykro, że wam przerywam zabawę. - Bob, który do nich podszedł, zerknął na zegarek. - Zarezerwowałem miejsce na prom odbijający o dziesiątej trzydzięci, więc muszę niedługo ruszać. Ale jeśli któraś z moich pasażerek chciałaby zostać dłużej, to jak rozumiem, będzie się mogła zabrać z Jackiem.

- Oczywiście, mam wolne miejsca. Nasz prom wypływa godzinę później.

- Ja wracam z Bobem - rzekła Joyce stanowczo.
- A ja chętnie bym została, ale wiem, że powinnam być w domu przed północą, więc jadę z wami - powiedziała Sharon.
- Ja też - dorzuciła Sula.
- Oby tylko Sally nie zanudziła się ze mną – Jack zrobił zatroskaną minę - ale postaram się jakoś jej umilić czas.
- No to bawcie się dobrze! - powiedziała Sharon, całując się z nimi na pożegnanie.
- Skoro toasty już ci nie grożą, może siądźmy na chwilę, żeby złapać oddech - zaproponował Jack po ich wyjściu.
- Świetny pomysł, pomyślała, tym bardziej że wino chyba mi odrobinę uderzyło do głowy.
- Podziwiam twoją silną wolę - powiedziała, patrząc, jak Jack sączy tonik. - Wiem, że prowadzisz, ale jedno piwo możesz wypić.
- Tak, ale ja po prostu nie mam ochoty. Za to ty nie odmawiaj sobie wina.
- Chcesz powiedzieć, że wypiałam za dużo? Może rzeczywiście, pomyślała, ale po tych wszystkich przeżyciach dobrze jej to zrobiło.
- Absolutnie nie. Przeciwnie, bardzo się cieszę, że się wesoło bawisz.

Gdy zespół zaczął grać wolniejszy kawałek, zasłuchiwała się rozmarzona, nie wiedząc, że on nie może oderwać od niej wzroku. Z burzą jasnych włosów, odśnie-

tym i lekko opalonym dekoltem wyglądała pięknie i niezwykle seksownie. Nie, nie jestem w stanie oprzeć się ani chwili dłużej, pomyślał, podnosząc się z miejsca. Ta muzyka jest stworzona specjalnie dla nas.

- Zatańczmy, Sally. Pamiętasz jeszcze dawne czasy?

Dawne czasy! Te słowa ją zelektryzowały i wywołały falę wspomnień. Kiedyś rzeczywiście była w Jacku zakochana bez pamięci i przeżyli razem cudowne chwile. Ale skoro on wykreślił ją ze swego życia, czy warto do tego wracać?

- Mówiłeś, że będziesz mi umilał czas, więc lepiej nie dotykajmy tego tematu.

- Dobrze, porozmawiamy, o czym tylko zechcesz, ale na parkiecie...

- Wiesz, Jack, raczej nie mam ochoty z tobą tańczyć.

- Dlaczego? Podaj mi choćby jeden powód. Przecież znów jesteś wolnym człowiekiem.

W jego niebieskich oczach zajaśniały wesołe iskierki, dłonią odgarnął kasztanowe włosy z czoła. Boże, jaki on jest przystojny, pomyślała z dreszczem pożądania. Nic dziwnego, że na jego punkcie kiedyś oszalałam.

Złapała się na tym, że od chwili, gdy na promie Jack dotknął jej ramienia, myśli tylko o nim i marzy o jego pocałunkach. A teraz wprost nie może się doczekać, by objął ją i przytulił w tańcu. Uświadamiając sobie, że chce tańczyć z facetem, który tak okrutnie ją zdradził i okłamał, zaczerwieniła się ze wstydu.

Może po prostu wypila za dużo wina! Może ta muzyka obudziła w niej wspomnienia, a może też odreagowuje przeżycia ostatnich dni? Tak czy inaczej, nie zamierzała pójść tak łatwo za głosem pożądania!

Jack, który zauważył, że Sally się waha, chwycił ją za rękę, podniósł z krzesła i mocno przytuliwszy, zaprowadził na parkiet.

- Proszę, nie odmawiaj mi tego tańca.

To prawda, nie ma po temu powodów, pomyślała. Ale z drugiej strony musi pamiętać, że ten facet, myśląc, że znów jest wolna, chce się po prostu zabawić, a potem po raz drugi zmyje się bez zmrużenia oka. Już raz dostała od niego nauczkę, więc powinna się mieć na baczności!

Gdy mocno objął ją w tańcu, a ona położyła mu głowę na piersi, słyszała niemal bicie jego serca. Po chwili Jack pochylił głowę, przytulając policzek do jej policzka. Czowała zapach jego wody po goleniu, lekki wieczorny zarost na brodzie łaskotał jej policzek. Z przymkniętymi oczami poruszali się jak w transie, w sali panował półmrok rozproszony tylko blaskiem świateł.

Kiedy jego usta musnęły jej wargi, poczuła, że czas stanął w miejscu i znów drży z pożądania. Niemal zapomniała o tym dreszczu, Tim nigdy nie wywoływał w niej takich doznań.

Uważaj, Sally, próbowała przywołać się do porządku. To jest bardzo, bardzo niebezpieczne, powtarzała sobie w duchu. Chyba bezskutecznie.

Kiedy umilkła muzyka i powoli zapaliły się lampy, stali przez moment bez ruchu. On mocno ją obejmował, ona nie otwierała oczu. Jack dopiero po chwili wrócił do siebie. Co ty robisz, do jasnej cholery? Po co się znęcasz nad sobą? Czyś ty kompletnie zwariował?

Kiedy Sally powiedziała mu o zerwaniu z Timem, na krótko owładnęła nim szalęncza radość, ale szybko znów poczuł pustkę i rozpacz. To niczego nie zmienia, przecież nigdy...

Położył jej dłonie na ramionach i niemal w desperacji pocałował w czoło.

- Sally, od tak dawna... od tak dawna nie trzymałem cię w objęciach...

Wyrwana nagle z rozmarzenia, otworzyła oczy i speszona cofnęła się o krok. Czemu, do diabła, zgodziła się na ten taniec? Czemu tak ochoczo poszła na parkiet, pozwoliła mu trzymać się w objęciach, a nawet pocałować? Odpowiedź jest prosta. Zawładnęło ją pożądanie, przesłoniło jej oczy, sprawiło, że się zapomniała, że na chwilę straciła głowę dla faceta, który postąpił wobec niej okrutnie i którym powinna wyłącznie gardzić.

- Wiesz co? - powiedziała, uśmiechając się nerwowo. - To śmieszne, ale na chwilę zapomniałam, gdzie jesteśmy.

- Ja też - odparł cicho, prowadząc ją do stolika. - Wydawało mi się, że znów jesteśmy na tym balu przed sześcioma laty, na którym przetańczyliśmy całą noc...

Umilkł nagle, jakby na wspomnienie, jak się skończył tamten wieczór. Jego słowa wywołały w niej furję, miała wrażenie, że coś w niej pękło, że musi mu to wygarnąć i nie będzie więcej tłumila wściekłości.

- Jak śmiesz wspominać tamten wieczór! Potraktowałeś mnie wtedy jak bezwartościowy przedmiot, który wyrzuca się bez chwili zastanowienia.

- Sally, to było sześć lat temu. Czy do dziś nie możesz mi tego wybaczyć? Zrozum, od tego czasu upłynęło mnóstwo wody... I zrozum, nie zrobiłem tego bez przyczyny - dodał, blady jak ściana.

- Okłamałeś mnie - rzuciła mu rozwścieczona. - Naopowiadałeś mi bzdur, mówiłeś, że mnie kochasz i chcesz być ze mną do końca życia. A potem, parę tygodni później zostawiłeś mnie, mówiąc, że chcesz się skupić na karierze. Zamiast szukać takich pretekstów, byłoby znacznie lepiej, gdybyś powiedział mi otwarcie, że mnie już nie chcesz!

- Nie mógłbym ci tak powiedzieć, bo kochałem cię do szaleństwa. Ale nie miałem wyboru, wiedziałem, że musimy się rozstać. To się stało z powodu pewnego wydarzenia. Z tym, żeby ci powiedzieć o rozstaniu, zwlekałem przez cały wieczór, bo to był wieczór magiczny, a ja wiedziałem, że cię stracę na zawsze. Uwierz mi, to było dla mnie straszne, to przerastało moje siły...

- Czyżby? - przerwała mu lodowato.

- Sally, ja naprawdę kochałem cię do szaleństwa. Ale wydarzyło się coś, co sprawiło... co sprawiło, że musiałem poświęcić nasz związek. To wszystko.

- To wszystko? Uznałeś po prostu, że dla ciebie to nie jest odpowiedni moment, żeby się wiązać? Bo obawiałeś się, że mogę ci przeszkodzić w sukcesach zawodowych? A kariera jest ważniejsza ode mnie?

- Zrozum, nie chciałem cię skrzywdzić.

- Nie opowiadaj bzdur. A jeśli to prawda, że kochałeś mnie do szaleństwa, czemu się więcej nie odezwałeś? Zniknąłeś bez śladu. Tego, co mi wtedy zrobiłeś, nie przebaczę ci tak łatwo, Jack.

Poczuła, że do oczu napływają jej łzy, więc gwałtownie odwróciła od niego głowę.

- Skrzywdziłem cię i wiem, że nigdy tego nie zdołam naprawić - powiedział cicho, biorąc ją za rękę. - Jest mi bardzo, bardzo przykro.

- Jest ci przykro? - Wyrwała dłoń, by otrzeć oczy. - Byłabym ostatnią idiotką, gdybym miała u- wierzyć w choć jedno twoje słowo. Jesteś prawdziwym... - zająknęła się, bo zabrakło jej odpowiedniego epitetu.

- Szczurem? - podpowiedział jej z cieniem uśmiechu. - Masz całkowitą rację. Postąpiłem okropnie, jak szczur - dodał z takim smutkiem, że przez chwilę niemal mu współczuła.

- Więc wyjaśnij mi, dlaczego tak postąpiłeś, Jack. Powiedz mi prawdę, bo nic z tego nie rozumiem. Byliśmy ze sobą tacy szczęśliwi, a skoro niby mnie tak kochałeś... - Urwała, przeszywając go wzrokiem.

Jack na sekundę zamknął oczy. Gdyby jej wtedy o tym powiedział, na pewno by go przekonywała, że nie ma racji. Na pewno powiedziałyby mu, że to, co zrobił jego ojciec, dla niej nie jest ważne i że nie przejmuje się piętnem, jakim została naznaczona jego rodzina. Powiedziałyby mu też, że alkoholizm jego ojca dla niej nie ma znaczenia. Ale on wiedział, że nie może podejmować ryzyka. Czuł, że nie wolno mu jej narażać.

Obracając pustą szklankę w dłoni, spoglądał niewidzącym wzrokiem na tańczące pary. W jego głowie odżyły dawne demony. Ojciec był alkoholikiem, który życie rodziny zamienił w koszmar. Matka próbowała osłaniać synów, zamykała go z młodszym bratem w pokoju, kiedy ojciec szalał. Pamiętał jego wrzaski i przekleństwa, pamiętał, że ją bił. I pamiętał, jak zatykał wtedy uszy swemu bratu.

Skłonność do picia jego ojciec odziedziczył po swoim ojcu, w ich rodzinie to jest dziedziczne, więc on także jest zagrożony alkoholizmem.

- Uwierz mi, nie jestem odpowiednim materiałem na męża - powiedział z jakąś niezwykłą stanowczością w głosie.

- Tego mi nie wyjaśniłeś, Jack - odparowała, zaciskając pięści z wściekłości. - Nie wymiguj się, powiedz mi lepiej, co cię tak niby różni od innych ludzi. Bo widzę, że jest coś, co przede mną ukrywasz. Jeśli mi nie powiesz prawdy, wychodzę. Wolę iść pieszo na prom, niż siedzieć z tobą. Dlaczego, do cholery, boisz się mi powiedzieć, w czym rzecz?

Zerwała się, chwytając kaszmirowy szal wiszący na oparciu krzesła, ale on złapał ją za rękę.

- Dobrze, skoro tego chcesz, powiem ci prawdę. Ale to chyba nie ma już znaczenia, bo przekonałem się właśnie, że twoja nienawiść do mnie nie osłabła.

Czy ja go nienawidzę? Popatrzyła na niego - w blasku świec mocne rysy jego twarzy jakby złagodniały. Po tym, jak ją porzucił, całymi miesiącami śniła o tej twarzy. On na pewno zdaje sobie sprawę, jaką jej wyrządził krzywdę, wie, że ją zranił i na długo odebrał wiarę w siebie. Ale mimo to odpowiedź jest przecząca: w jej stosunku do niego nie ma nienawiści.

- Szkoda tylko, że zanim mnie ugodziłeś, powtarzałeś, że tak mnie kochasz - powiedziała z goryczą, ale usiadła przy stole.

- Masz rację, ten cios spadł na ciebie niespodziewanie. Ale prawda polega na tym, że chciałem cię uchronić przed patologią w mojej rodzinie. Pragnąłem ci tego oszczędzić, a po tym strasznym wypadku wszystko stanęło na ostrzu noża.

- O czym ty mówisz, do diabła? O jakim wypadku?

Milczał przez chwilę, po czym zaczął cicho:

- Trzy dni przed tym bale mój ojciec zabił człowieka. Prowadził po pijanemu i potrafił dziewczynę na rowerze, po czym uciekł z miejsca wypadku. Widziałem to na własne oczy, byłem jedynym świadkiem tego wydarzenia.

Ta przerażająca historia opowiadana przy nastrojowej muzyce i wesołym gwarze w tle wydawała się jeszcze bardziej niewyobrażalna, brzmiała wręcz nie-realnie. Sally wzięła głęboki oddech, by wrócić myślami do tamtego balu. Jack pojechał na kilka dni do rodziców, ale umówił się z nią, że wróci tego dnia po południu. Miał po nią wpaść, na bal mieli wybrać się razem. Ale na krótko przed ustaloną godziną dostała od niego wiadomość: „Trochę się spóźnię, więc pojedź sama taksówką. Przepraszam i do zobaczenia na miejscu. Kocham cię, J.”.

Pamiętała, że kiedy tam dotarł, wyglądał na wykończonego, ale ona uznała, że jest po prostu zmęczony długą jazdą samochodem. Przez cały wieczór zachowywał się inaczej niż zwykle: prawie się nie odzywał, na jego twarzy malowało się jakieś dziwne zamyślenie. Gdyby tylko wiedziała, co się, wtedy stało...

- To potworne. To straszne być świadkiem czegoś takiego. Ale czemu mi o tym nie powiedziałaś? Dlaczego milczałaś?

- Wiedziałem, jak byś zareagowała - odparł z kamienną twarzą. - Powiedziała-byś, że ta sprawa nie dotyczy nas dwojga. Ale zrozum, ta tragedia rozbiła do końca moją rodzinę, a ja nie mogłem cię wciągać w to nieszczęście. Ojciec swoim pijaństwem zrujnował życie mojej matce, mnie i mojemu bratu. I zabił tę dziewczynę.

- Ale mimo, że dorastałeś w rodzinie alkoholika, wyszedłeś na ludzi, usamodzielniałeś się, zostałeś lekarzem. Trudno mi uwierzyć, że zerwałeś nasz związek z powodu tego, co zrobił twój ojciec.

- Tak było, musisz mi uwierzyć. Ty miałaś szczęśliwe dzieciństwo i kochającą rodzinę, więc nie jesteś w stanie sobie wyobrazić, jak wygląda życie z agresywnym alkoholikiem. Tamten wypadek naznaczył na zawsze całą moją rodzinę, wpłynął na mój stosunek do świata i na moje myślenie.

- Co się stało z twoim ojcem? - spytała, czując, że musi poznać całą prawdę.

- Poszedł do więzienia, a moja matka do końca życia nie chciała ze mną rozmawiać. Nie umiała mi wybaczyć, że zeznawałem przeciwko niemu. Uważała, że doniosłem na niego. Dla niej byłem zdrajcą, który zniszczył rodzinę. Ojciec był agresywny, bił ją i znieważał, ale ona go kochała. Jak się okazało, kochała go bardziej niż mnie i zawsze opowiadała się po jego stronie. Czy teraz możesz zrozumieć, dlaczego nie chciałem się wiązać? Zostałem obciążony straszliwym bagażem. W mojej rodzinie alkoholizm był od pokoleń, więc kto mógłby mi zagwarantować, że ja też tak nie skończę?

- Przecież to jest czyste gdybanie - odparła podniesionym głosem. - A poza tym to nie twoja wina, z jakiej pochodzisz rodziny.

- Pomyśl tylko, co by powiedzieli twoi rodzice o moim tatusiu. Ponieważ nie jesteśmy razem, to nie ma zresztą większego znaczenia. Sama przyznałaś bez owijania w bawełnę, że mi nie wybaczyłaś, choć od naszego rozstania upłynęło tyle lat.

Próbowałam go znienawidzić, ale bezskutecznie, pomyślała Sally. Nie dość na tym: gdyby miała być przed sobą szczerą, musiałaby przyznać, że on wciąż dzia-

ła na nią jak magnes i budzi w niej pożądanie. A teraz, gdy poznała przyczynę ich rozstania, nic nie stoi na przeszkodzie, żeby...

- Kiedy spotkaliśmy się po moim powrocie do Szkocji, zauważyłem, że czujesz do mnie antypatię. To było zrozumiałe, ale miałem nadzieję, że z czasem zaczniesz mnie tolerować. Byłaś przecież zaręczona, więc sądziłem, że nasze dawne sprawy nie powinny być dla ciebie takie bolesne. Muszę przyznać, że nie było mi łatwo pracować z tobą, bo na każdym kroku okazywałaś mi niechęć, ale liczyłem, że to się zmieni. Jednak dzisiaj powiedziałaś mi bez ogródek, że się myliłem, wierząc, że zdołasz mi przebaczyć. Wcale ci się nie dziwię, że nie chcesz mieć do czynienia z kimś, kto ci przypomina przykre przeżycia sprzed lat. I dlatego uważam, że będzie najlepiej, jeśli rozwiążemy naszą współpracę.

- Jak to, rozwiążemy? - powiedziała, patrząc na niego zaskoczona. - Przecież mówiłeś, że zostaniesz do powrotu Jean z Nowej Zelandii...

- Nie chciałbym ci sprawiać zawodu, ale z tego, co mówisz, nie uporałaś się z bólem sprzed lat. Więc będzie lepiej dla nas obojga, jeśli odejdę. Dasz sobie radę beze mnie, tym bardziej że nie wybierasz się w podróż poślubną.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Patrzyła na niego z osłupieniem, nie mogąc wydobyć słowa. Nie chcę, żeby odchodził, z dnia na dzień nie znajdę nikogo na zastępstwo, myślała gorączkowo. Jest dobrym lekarzem, pacjenci bardzo go cenią. Ale, niech to szlag trafi, nie o to tylko chodzi. Tęskniłabym za nim... Przecież nie mogę przez całe życie rozpałmiętywać tego, co się stało sześć lat temu.

Po gwałtownym wybuchu sprzed paru minut, kiedy dała upust żalowi i goryczy, czuła się oczyszczona, jakby ten wybuch uwolnił ją od jakiejś trucizny. Przede wszystkim jednak nie czuła do Jacka żadnej „antypatii”, a jeśli to nie była miłość, to na pewno...

- Nie chcę, żebyś odszedł - wykrztusiła, przelękając ślinę. - Powinniśmy zapomnieć o dawnych urazach, spróbujmy się zaprzyjaźnić. To jest możliwe, jestem tego pewna.

- Wygarnęłaś mi całą prawdę, powiedziałaś, że nie możesz mi wybaczyć tego, co się stało. Nie wierzę, żebyś mogła tak szybko zapomnieć o dawnej krzywdzie.

- Ale to prawda, Jack, nie czuję do ciebie urazy. Dzięki temu, że mi powiedziałeś o tej straszliwej tragedii, zrozumiałam, dlaczego postanowiłeś odejść. Nie mam do ciebie pretensji, absolutnie nie czuję do ciebie antypatii. Jesteś świetnym lekarzem i dobrze mi się z tobą pracuje. Proszę, nie rezygnuj z pracy - dodała cicho.

Przez chwilę spoglądał na nią badawczo, po czym się odrobinę rozchmurzył.

- Mnie też się z tobą dobrze pracuje – mruknął pod nosem.

Bardzo chciał dotknąć jej ręki, ale się powstrzymał. Wiedział, jak łatwo straciłby głowę. Jest wykluczone, by mogli do siebie wrócić. To nie ulega wątpliwości, zwłaszcza że ona poznała prawdę i wie, że jest synem mordercy. W najlepszym razie mogą ułożyć między sobą stosunki na gruncie zawodowym.

- Czy jesteś pewna, Sally, że się jakoś zdołamy dogadać i wytrzymamy ze sobą do powrotu Jean?

- Jestem o tym absolutnie przekonana.

Zerknęła na niego kątem oka, czując łomotanie serca i suchość w gardle. Miała wrażenie, że nieszczęśliwe lata po rozstaniu odchodzą w niepamięć, a sprzeczne uczucia wobec Jacka, które męczyły ją od paru tygodni, skryształizowały się w nieodparte, rozpaczliwe pragnienie, by znowu ją wziął w ramiona.

On, pragnąc ukryć przyływy pożądania, podniósł się gwałtownie.

- Mam pomysł, zatańczmy na zgodę - zaproponował.

- Jest późno, nie możemy się spóźnić na prom.

Marzyła, by z nim tańczyć, ale wiedziała, że gdy znajdzie się w jego objęciach, nie będzie już w stanie udawać.

- Nie martw się, mamy jeszcze parę minut - odparł.

Na parkiecie nie mogła oderwać wzroku od jego profilu, w ramionach Jacka przestał dla niej istnieć cały świat. Gdy objął ją mocniej, a ona przytuliła się do niego, czując jego podniecenie, zadrżała. On pragnął jej jak przed laty, jak kiedyś pożył jej całym sobą.

Delikatnie musnął wargami jej usta, by po chwili je rozchylić. Kiedy w półmroku dotknął dłonią jej piersi, poczuła, że ziemia niemal usuwa się jej spod stóp. Zrzuciła mu dłonie na szyję i zamknęła oczy. Jack całował gorąco jej szyję, uszy i usta, a ona odpowiadała na te pieszczoty.

- Prawda, Sally, że dobrze wybrałam tę knajpkę? - Sharon weszła do jej gabinetu ze stertą listów i dokumentów. - Tak świetnie dawno się nie bawiłam, inni zresztą też tak mówią. Przykro mi tylko, że musieliśmy zostawić was samych, żeby zdążyć na prom.

- Jakoś to przeżyliśmy - odparła Sally, tłumiąc uśmiech.

- Widzę, że to wyjście dobrze ci zrobiło, bo wyglądasz kwitnąco. Ostatnio sprawiałaś wrażenie bardzo wymęczonej i trochę się o ciebie niepokoiłiśmy. Wyobrażam sobie, ile nerwów kosztują przygotowania do ślubu! Wielka szkoda, że nie było wczoraj twojego narzeczonego - paplała, wkładając dokumenty do szafek. - Chociaż może to i lepiej, bo po ślubie jeszcze zdążysz się nim znudzić.

Będę im musiała powiedzieć o zerwaniu zaręczyn, pomyślała Sally, ciężko wzdychając. Ale mogę się trochę z tym wstrzymać, tym bardziej że na razie nie ma potrzeby ogłaszania przed światem związku z Jackiem. Jest na to za wcześnie, muszą jeszcze sobie wyjaśnić wiele spraw.

Wczorajszego wieczoru wszystko potoczyło się tak szybko. Najpierw powiedziała mu, że jest szczurem, który ją unieszczęśliwił, by po paru minutach wylądować w jego ramionach. Wściekłość, poczucie odrzucenia, nienawiść, niedowierzanie - jej emocje zmieniały się jak w kalejdoskopie, ale mimo tej huśtawki on zaufał jej na tyle, by powiedzieć prawdę. A ona wreszcie zrozumiała, dlaczego od niej odszedł, dlaczego uważał, że związek z nim byłby dla niej niebezpieczny.

Ogromnie mu współczuła, przeżył koszmar. Nie dość, że widział ten potworny wypadek, to jeszcze patrzył, jak jego ojciec ucieka, zostawiwszy dziewczynę na drodze. Nic dziwnego, że Jack nie był w stanie opowiedzieć jej, co się stało i że za wszelką cenę chciał ją chronić przed tym nieszczęściem.

A do tego jeszcze odrzuciła go matka, winiąc go za to, że ojca spotkała kara. Kto wie, czy właśnie to nie było w tym wszystkim najgorsze? Jak ona mogła więcej nie odezwać się do niego słowem? Przecież to straszliwie spotęgowało jego ból i cierpienie.

Ale ostatni wieczór był dla nich jakby nowym początkiem, tak podniecającym jak pierwsza randka. Po odwiezieniu jej do domu Jack czekał, aż otworzy drzwi, po czym ją wziął w ramiona. Całował ją długo, zsunął jej z ramion sukienkę, by pieścić delikatnie ustami szyję i piersi, a ona namiętnie reagowała na te pieszczoty. Obydwoje chcieli nadrobić stracone lata.

- Mój Boże, jaka jesteś piękna - szepnął, całując jej włosy. - Wiesz co? - dodał z uśmiechem. - Może byś mnie zaprosiła do środka, żebym...

I poszliby do łóżka, by dopełnić ten cudowny wieczór. Ale z jakichś powodów wolała to odwlec.

- Nie wszystko naraz - odparła pogodnie. - Czekałam na ciebie parę lat, więc mogę jeszcze poczekać dzień czy dwa.

- Aż mi się nie chce wierzyć, że to powiem, ale może masz rację. Może wstrzymajmy się jeszcze trochę.

Na pożegnanie ponownie pocałował ją w usta.

Wczorajszy dzień wydawał się jej niczym cudowny romantyczny film. W czasie przerwy na lunch chciała zaproponować Jackowi, żeby się spotkali wieczorem. Pójdą na spacer i na kolację. Muszą się znowu przyzwyczajać do siebie, poznawać się na nowo. Czowała się tak szczęśliwa i ożywiona, ale zarazem miała tremę. Życie dało im drugą szansę, więc nie wolno dopuścić, by coś mogło się zepsuć.

- Dzisiaj nie będziemy narzekać na nudę - powiedziała Sharon, wrywając ją z zadumy.

Dosyć tego dobrego, Sally przywołała się do porządku. Przestań zachowywać się jak nastolatka, która zabujała się pierwszy raz w życiu. Do roboty, jesteś lekarką! Spojrzała na listę pacjentów i z radością zobaczyła, że jako pierwszego przyjmie dziś Iana Kershawa. Ian prowadził nad morzem szkołę dla dzieci niepełnosprawnych i uczył w niej wychowania fizycznego. Sally przyjaźniła się z nim i sprawowała opiekę medyczną nad szkołą. Bardzo by chciała, żeby Jack poznał Iana.

- Nie zawracałbym ci tym głowy, Sally - powiedział Ian - ale tyle się teraz mówi o raku skóry, więc postanowiłem ci to pokazać.

- I bardzo słusznie, muszę cię pochwalić - odparła, oglądając znamię na jego ramieniu. - To dobrze, że ludzie są świadomi, jakie szkody może spowodować słońce. Zwłaszcza u kogoś, kto jak ty, ma bardzo jasną karnację.

- Myślisz, że to może być rak?

- Nie sędzę, moim zdaniem to wygląda na całkowicie niegroźne znamię, ale żeby mieć pewność, usuniemy je i wyślemy na biopsję. Nic się nie bój, to nie będzie bolało - dodała, robiąc mu zastrzyk znieczulający.

Ostrożnie wycięła skalpelem zmienioną tkankę i umieściła ją w sterylnym pojemniku.

- A teraz jeszcze tylko cię zaszyjemy i będziesz jak nowy. Weźmiemy nić niewchłaniającą, żeby nie została blizna. Ty przecież chcesz być piękny! I już po całej operacji, na zdjęcie szwów przyjdź za cztery dni.

- Wielkie dzięki za wszystko. Wysłałem ci zaproszenie na święto szkoły w przyszłym tygodniu. Mam nadzieję, że przyjdiesz. Chcemy zebrać fundusze na sprzęt rehabilitacyjny. W tej dziedzinie jest ogromny postęp, a dzieciaki powinny korzystać z najnowocześniejszych urządzeń. Przyniosłem ulotki propagujące naszą akcję.

- Świetnie. Poproszę Joyce, żeby wyłożyła je w poczekalni i powiesiła na tablicy informacyjnej, a ja też postaram się dotrzeć do potencjalnych sponsorów i zaproszę znajomych na twoją imprezę.

- Bardzo ci dziękuję. Wyobraź sobie, że na otwarciu będzie Careena Fairfax. Gwiazdy nieczęsto zaglądają w nasze strony, ale ostatnio wprost się tu od nich roi.

- Przyjdę na pewno - powiedziała z uśmiechem. I zabiorę Jacka, dodała w duchu. Bez wątpienia z przyjemnością obejrzy szkołę i zobaczy, jakich cudów dokonuje się w rehabilitacji niepełnosprawnych dzieci. No i oczywiście spotka swoją pacjentkę, którą ratował po oparzeniu barszczem.

Wyrzuciła igłę i lateksowe rękawiczki do pojemnika na odpadki, po czym zerknęła na listę porannych pacjentów. To potrwa, zanim będzie mogła sobie zrobić przerwę na kawę i zobaczyć się z Jackiem.

Przez trzy godziny oglądała więc chore gardła, badała pacjentów z nieżytami żołądka i zapaleniem korzonków, alergików i kaszlące dzieci, by wreszcie zapukać do jego drzwi.

- Co pani dolega? - powitał ją z uśmiechem. - Z największą przyjemnością panią zbadam – dodał z wesołymi iskierkami w oczach, podnosząc się zza biurka. - Najpierw zbadam pani usta - powiedział, po czym pocałował jej rozchylone wargi. - Nie widzę powodów do niepokoju, ale może zdecydowałyby się pani na dodatkowe analizy. To nie będzie bolało i warto je przeprowadzić, bo...

- Przestań, jesteśmy w pracy - wydusiła ze śmiechem.

- No właśnie, jestem lekarzem, a pani się do mnie zgłasza z prośbą o poradę. Bez przeprowadzenia badań nie jestem w stanie wykluczyć, czy przypadkiem...

- Proszę uważać, bo ja też jestem lekarzem.

- No dobra, nie będę już pani badał. A teraz powiem ci całkiem serio, że od dawna nie byłem tak szczęśliwy jak wczoraj. Kiedy okazało się, że mnie nie skreśliłaś...

- Tak, przyznaję, jestem w stanie cię strawić - przerwała mu żartem, przysiadając na biurku. -I dlatego mam propozycję: chodźmy po pracy na spacer, a później może coś u mnie zjemy.

- To brzmi bardzo kusząco, a zwłaszcza „później”.

- I chciałabym cię też namówić, żebyś w weekend wybrał się ze mną na święto szkoły dla dzieci niepełnosprawnych. To niedaleko stąd, nad morzem, w bardzo ładnym miejscu. Tę szkołę prowadzi mój znajomy, przy okazji święta zbierają fundusze na zakup sprzętu rehabilitacyjnego.

- Bardzo chętnie się tam wybiorę, ale musisz mi przyrzec...

Jack, któremu dzwonek telefonu przerwał w połowie zdania, podniósł słuchawkę i po krótkiej rozmowie powiedział:

- Nigdy byś nie zgadła, kto dzwonił. Wyobraź sobie, że to ta urocza staruszka, Hilda Brown, która mieszka w „Ostoi”, dużym domu nad zatoką.

- Poczula się gorzej?

- Nie, na nic się nie uskarża, ale bardzo nas prosi, żebyśmy do niej wpadli dziś podpisać jakieś papiery. Właśnie przyjmuje w „Ostoi” adwokata i pośrednika handlu nieruchomościami, więc przypuszczam, że to dotyczy spraw własnościowych i ma związek z Olsenami. Co ty na to, żebyśmy do niej teraz podjechali? Przed popołudniowym dyżurem mamy trochę luzu, więc przy okazji zdążymy nawet coś przekąsić.

- Dobry pomysł. Ciekawa jestem, co u niej słyhać i jak się jej układa z córką.

Tym razem wybrali się do Hildy jego samochodem. Zanim wyjechali na szosę, Jack zatrzymał się przed sklepem na rogu ulicy.

- To potrwa pół minuty, chciałbym coś kupić.

Po chwili wyszedł z dużą plastikową torbą, którą włożył do bagażnika.

- Popatrz, tą sama trasą jechaliśmy do „Ostoi” sześć tygodni temu - powiedział cicho, zerkając na Sally w lusterku. - Pamiętam, że zapach twoich perfum obudził we mnie wspomnienia naszej gorącej miłości sprzed sześciu lat. I nie przyszło mi wtedy do głowy, że możemy zacząć od nowa.

Gdy przelotnie spotkali się wzrokiem, w jego oczach dostrzegła pożądanie.

- Niech doktor McLennan lepiej myśli o pracy - powiedziała z udawaną naganą w głosie, ale jej serce waliło jak oszalałe na myśl, że niedługo, prędzej czy później, znów będą się kochać, jakby nigdy się nie rozstali.

Przed domem Hildy parkowały dwa samochody. Drzwi otworzyła im kobieta z nogą w gipsie, chodząca o kuli. Jej twarz wydała się im znajoma, a ona rozpromieniła się na ich widok.

- Państwo pewnie mnie nie pamiętają, nazywam się Geraldine Foster, sześć tygodni temu zostałam ranna w karambolu, a państwo udzielali mi pomocy w szpitalu.

- Świetnie to pamiętam! - zawołała Sally. – Po wypadku zostaliśmy wezwani do szpitala, a pani, o ile się nie mylę, miała tego dnia zacząć pracę w „Ostoi”. I jak się pani tu wie?

- Niestety, nie jestem jeszcze w stanie wykonywać cięższych prac, więc nie wiem, czy pani Brown jest ze mnie zadowolona. Ale cieszę się, że mogę na coś

się przydać i choć trochę jej pomóc. To przeurocza osoba - dodała, prowadząc ich do salonu.

Piękny wielki salon ze wspaniałym widokiem na zatokę i wyspę zmienił się nie do poznania. Z podłogi zostały uprzątnięte papiery i książki, nie było śladu po brudnych filiżankach, wypolerowane meble aż lśniły, na dębowym stoliku stał wazon cudownie pachnących groszków.

- Dokonałaś wielkiego dzieła, Geraldine - szepnął Jack z uznaniem.

Drobniutka pani Brown, tak jak w czasie ich poprzedniej wizyty, siedziała w masywnym fotelu z uszakami. W długiej niebieskiej sukni, z czerwonym szalem otulającym ramiona i w kapeluszu na głowie wyglądała bardzo malowniczo. Dwaj mężczyźni, którzy stali przy niej, trzymali w dłoniach filiżanki kawy. W jednym z nich Jack rozpoznał pierwszego pacjenta, jakiego przyjął w tym miasteczku.

- O wilku mowa! - pani Brown powitała Sally i Jacka. - Ogromnie wam dziękuję, że zechcieliście mnie odwiedzić. Siadajcie, moi drodzy, musimy o- mówić pewne sprawy. Pozwólcie, że wam przedstawię, to jest mecenas Edwin Brotherton, a to Angus Knightley z agencji obrotu nieruchomościami.

- Miałem już przyjemność poznać doktora McLennana - oznajmił Angus z szerokim uśmiechem. - Cieszę się, że mam okazję panu podziękować. Dokonał pan cudu i dzięki panu jestem nowym człowiekiem.

- Miło mi to słyszeć. Okazuje się, że czasem lekarze potrafią się na coś przydać.

- A no właśnie - powiedziała Hilda - więc przejdźmy do rzeczy. Ponieważ postanowiłam wystawić ten dom na sprzedaż, chciałabym, żeby moja córka nie

mogła zakwestionować mojej decyzji, mówiąc, że postradałam zmysły. Dlatego zależy mi na opinii lekarskiej, że na starość nie oszalałam ani nie zgłupiałam.

- Ale dlaczego chce pani sprzedać dom? – Sally spojrzała na nią zdumiona. - Przecież pani go kocha, a teraz, kiedy ma pani pomoc, życie codzienne w nim nie powinno już sprawiać żadnych trudności.

- To prawda, bardzo Kocham ten dom, spędziliśmy tutaj z mężem wiele szczęśliwych lat. Ale muszę brać pod uwagę względy praktyczne, a „Ostoja” jest za duża dla jednej osoby. Tu nie powinna mieszkać samotna staruszka. Korzystam tylko z niewielkiej części domu, do wielu pokoi nie zaglądałam od lat. Wiem, że robię się coraz słabsza, w pełni zdaję sobie z tego sprawę. Nie chciałabym dopuścić, żeby „Ostoja” niszczała, nie chcę pozwolić, żeby popadła w ruinę. I wolę się stąd wyprowadzić w porę, dopóki jestem samodzielna i mam na to siły. Ten dom musi żyć, tu powinna zamieszkać jakaś szczęśliwa rodzina, w tym ogrodzie powinny biegać dzieci, a przy mnie to wszystko pokrywa się kurzem.

- Pani Brown chce się przenieść do miasteczka, do mniejszego domu, który znalazł dla niej pan Knightley - wyjaśnił Edwin Brotherton.

- Rozumiem, ale myślałam... myślałam, że - zaczęła Sally.

- Że tutaj chciałaby zamieszkać moja córka? - Hilda weszła jej w słowo. - Mary, o czym chyba wspominałam ostatnim razem, dostała ode mnie znaczną sumę i duży spadek po ojcu. Niestety, razem z zięciem w większości to przepuścili. Nie wierzę, że byliby w stanie zadbać o ten dom, oni po prostu by tego nie potrafili. Po mojej śmierci Mary odziedziczy wszystko, co posiadam, ale chciałabym, żeby „Ostoja” dostała się w dobre ręce. Marzę, żeby w tym domu zamieszkali ludzie, którzy będą go kochać.

- Czy powiedziała to pani córce? - zapytał Jack.

- Tak, mówiłam jej o tym, ale ona uważa, że postradałam zmysły. Uprzedziłam ją, że poproszę o orzeczenie lekarskie. Nie zrobiłabym tego bez jej wiedzy - powiedziała Hilda, patrząc na Sally i Jacka. - I dlatego chciałabym, żebyście państwo wypowiedzieli się w obecności prawnika, czy jestem w pełni władz umysłowych.

- Kiedy pani planuje przeprowadzkę? - zapytała Sally. - Podejrzewam, że to trochę potrwa, zanim pani sprzeda „Ostoję”.

- Pani Brown już kupiła dom w miasteczku, więc może się tam przenieść w każdej chwili. A „Ostoja”, choć wymaga pewnych prac remontowych, szybko znajdzie nabywców - wtrącił Angus Knightley.

- Nie wątpię, że ten dom stanowi wyjątkowo atrakcyjną ofertę na rynku nieruchomości - oświadczył Jack. - Wyprowadzka, jak przypuszczam, nie będzie dla pani łatwa, ale nie mam wątpliwości, że polubi pani życie w miasteczku.

- Jestem tego pewna, tym bardziej że mam tam wielu znajomych. Pozwólcie państwo, że zanim przystąpimy do naszych spraw, poproszę Geraldine, żeby nam zaparzyła świeżej kawy i podała fantastyczne ciasto własnej roboty.

- Nie mogę uwierzyć, że Hilda zgodziła się wyprowadzić z tego pięknego domu - powiedziała Sally, gdy w drodze powrotnej zjeżdżali serpentynami w stronę morza. - Dałabym głowę, że nie bierze tego pod uwagę i postanowiła zostać w „Ostoi” do końca.

- Wydaje mi się, że chce sama decydować o losach tego domu. Zamiast oddać go na łaskę Mary Olsen i jej męża, woli znaleźć dla niego godnego nabywcę. To smutne, że matka z córką nie potrafią dojść do porozumienia, ale szczerze

mówiąc, Mary nie budzi mojego współczucia. W końcu nikt jej nie zamierza wydziedziczyć. Tak czy siak, dzień jest zbyt piękny, żeby się o tym przejmować. Do powrotu mamy jeszcze godzinę, więc zjedźmy lunch. Chcę zajmować się wyłącznie tobą i patrzeć tylko na ciebie.

Na myśl, że czeka ją godzina sam na sam z Jackiem, bezskutecznie próbowała opanować podniecenie. Gdy samochód skręcił z szosy w polną drogę wśród wzgórz, myślała, że jadą do jakiejś wiejskiej jadłodajni. Okazało się jednak, że ta droga nagle się kończy.

- Odkryłem to miejsce przypadkowo dwa tygodnie temu, kiedy jadąc do pacjenta, zgubiłem drogę.

Jack zaparkował samochód i wyjął torbę z bagażnika, po czym ruszyli stromo w dół zarośniętą ścieżką. Gdy po paru minutach Sally zobaczyła morze i piaszczystą zatoczkę otoczoną stromymi zboczami skalistych klifów, krzyknęła z zachwytem:

- Jak tu pięknie! Nie miałam pojęcia o istnieniu tego zakątka!

Słona bryza mieszała się z intensywnym zapachem rozgrzanego w słońcu tymianku, na skałach rosły kępy chabrow ciemniejszych nieco od błękitu nieba nad ich głowami.

- Jack, to jest miejsce magiczne!

- Wiem - przyznał z uśmiechem zadowolenia. - Ale wyobraź sobie, że ja jestem sprytniejszy, niż uważasz. Wszystko obmyśliłem z góry, więc specjalnie dla ciebie mam koc, a jak sobie usiądziesz, dostaniesz smakołyki w nagrodę.

Czy to nie sen? Bajkowy zakątek, precudny ciepły dzień i ukochany mężczyzna, którego odnalazła po latach. Zabójczo przystojny, wysoki, z gęstymi kasztanowymi włosami połyskującymi w słońcu, beztruskim uśmiechem i iskierkami szczęścia w oczach.

Kto by pomyślał, że jeszcze parę dni temu tak strasznie się szamotała, ale wystarczyło, że Jack jej zaufał i powiedział prawdę, a ona zrozumiała, przez co musiał przejść. Na myśl o tym, że został odrzucony przez matkę, poczuła ucisk w gardle. Matka nigdy mu nie przebaczyła, że zeznawał przeciwko ojcu. Do śmierci nie odzywała się do Jacka. On postanowił odejść od kochanej kobiety, bo chciał jej oszczędzić tych nieszczęść. Wolał zrezygnować z miłości i zność to wszystko samotnie. Wyjazd do Australii świadczy o jego sile charakteru.

- Przyszła pora, żeby skosztować miejscowych specjałów - oświadczył, siadając przy niej, po czym wyjął z torby dwa plastikowe kubki i butelkę białego wina. - Wprawdzie nie ręczę za ten trunek, ale wypijmy za nasze szczęście.

Po pierwszym łyku skrzywili się równocześnie.

- O rany, to smakuje jak ocet - powiedziała.

- I cóż ja poradzę, że w tutejszym sklepie oferują tylko wino z miejscowej winnicy. Wobec tego dajmy szansę tutejszym frykasom. Bardzo proszę, pozwoli pani namówić się na tę oto wybitnie apetyczną kanapkę z szynką.

Sally wybuchnęła śmiechem, biorąc do ręki lekko rozmiękłą białą bułeczkę, z której wystawała przywiedła sałata.

- Nie to nie. Skoro nie wiesz, co dobre, to oddawaj. Ja wobec tego też nie będę jadł, i oboje umrzemy z głodu - mówił wesoło, biorąc ją pod brodę, ale po chwili jego oczy spowaźniały.

Powoli położył ją na kocu, układając się przy niej. Wiedziała, czym to się skończy, ale tym razem nie zamierzała go powstrzymać. Teraz, gdy zrozumiała, dlaczego kiedyś sprawił jej tyle bólu, mogła zapomnieć o przeszłości. Teraz, gdy wreszcie go odzyskała, nie chciała myśleć o tych smutnych sześciu latach i bladym, wymuszonym uczuciu do Tima. Wiedziała, że czekają cudowna przyszłość z Jackiem i że poza nim nie widzi świata.

- Chyba domyślam się, co teraz będzie - szepnęła, przytulając się do niego.

On odgarnął jej włosy z czoła i przez chwilę nie mógł oderwać wzroku od jej twarzy: oczu przesłoniętych długimi rzęsami, brzoskwiniowej cery, pełnych warg, wysokich kości policzkowych.

- Ciekawe, czy to odgadłaś, bo tak się składa, że nagle nabrałem apetytu na ciebie, moja kochana - powiedział cicho i całując ją w usta, zaczął ją rozbierać. - Od tak dawna o tym marzyłem! Myślisz, że pamiętamy jeszcze, jak to się robi?

- O ile mnie pamięć nie myli, ściągaliśmy ubranie, zanim jeszcze...

- Dobrze, że mi przypominasz, więc pozwól, że cię rozbiorę do końca... Sally, jesteś taka piękna, każdy twój kawałek...

I w tej słonecznej zatoczce kochali się z uniesieniem i rozkoszą, jak przed sześcioma laty. A potem przez dłuższą chwilę leżeli przytuleni, słuchając łagodnego szumu fal. Kiedy wreszcie powoli wrócili do rzeczywistości, Jack opowiedział jej, jak bardzo za nią tęsknił w Australii, ale mimo to, z powodu piętna, jakie odcisnęło się na jego rodzinie, nie miał odwagi się do niej odezwać.

- Nie pisałem do ciebie, bo myślałem, że nigdy tutaj nie wrócę. Matka się mnie wyparła, bo uznała, że ich zdradziłem.

Sally zatopila palce w jego włosach i spytała cicho:

- Dlaczego? Dla niej to musiało być ponad siły. Czy nigdy nie próbowała się z tobą skontaktować?

- Dostałem od niej dwa listy, ale ich nie otworzyłem. Nie miałem siły czytać jej oskarżeń o zdradę... ale może, z jej punktu widzenia, sprzeniewierzyłem się rodzinie. - Uśmiechnął się gorzko, po czym usiadł i popatrzył na Sally. - Ale nie mówmy już o tym, kochanie. Zamiast do tego wracać, spójrzmy w przyszłość.

- Wszystko zaczniemy od początku, prawda? - szepnęła, uśmiechając się do niego z rozmarzeniem. - Mamy przed sobą lata wspólnego życia, długie lata...

Komórki są chyba zaprogramowane po to, żeby dzwonić w najmniej odpowiednich momentach, pomyślała Sally, sięgając do torebki.

- Cześć, mamó! - powiedziała do telefonu. - Oczywiście, że mi nie przeszkadzasz, mam przerwę na lunch. Świetnie, bardzo się cieszę. W takim razie, do zobaczenia w niedzielę. Całuję was bardzo mocno.

Jack przypatrywał się jej twarzy, pogodnej i emanującej ciepłem. Nic dziwnego, że ta piękna dziewczyna jest oczkiem w głowie swoich rodziców. Taka nieznaną mu bliskość z matką musi być czymś cudownym, pomyślał z goryczą. Sally wychowała się w szczęśliwym, pełnym miłości domu, podczas gdy w jego rodzinie panowały strach i przemoc.

I w jego głowie zakiełkował cień wątpliwości. Czy seks z wrażliwą i bezbronną Sally, która właśnie zerwała zaręczyny, nie jest z jego strony bezmyślnym egoizmem? Bo jak ona będzie się czuła, gdy uświadomi sobie na chłodno, że związała się z synem mordercy? Ona mu bezgranicznie ufa, a teraz przekroczyli Rubikon. Znowu zostali kochankami, znowu zaznali niewiarygodnego szczęścia.

Ale to wszystko potoczyło się tak szybko. Jeszcze wczoraj go nienawidziła, dziś wylądowała w jego ramionach. Nie mieli czasu na chwilę refleksji ani na rozmowę o przyszłości.

Leżąc na plecach, wpatrywał się w niebo. Dawne wstrząsy sprawiły, że stwardniał i dziś, po sześciu latach rozłąki, jest zupełnie innym człowiekiem. Być może nie będzie w stanie zaspokoić nadziei i oczekiwań Sally.

Bo szczerze mówiąc, na myśl o małżeństwie ogarniało go przerażenie. Dość się napatrzył na własnych rodziców. W istocie jemu małżeństwo kojarzyło się z więzieniem i nieszczęściem dwojga ludzi. Kochał Sally, to absolutnie nie ulegało wątpliwości, ale bardzo wątpił, czy byłby gotów się ożenić. A to chyba nie jest wobec niej w porządku? Przecież nie może jej zawieść po raz drugi, nie może jej stwarzać fałszywych złudzeń, robić nadziei, których nie będzie w stanie spełnić.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Najwyższa pora, by powiedzieć w pracy, że zaręczyny z Timem zostały zerwane, pomyślała Sally nazajutrz rano, parkując auto przed przychodnią. Jednak na myśl, jaką to wywoła sensację i lawinę domysłów, poczuła gęsią skórę. Rzecz jasna, nie zamierzała ogłaszać światu przy okazji, że ona i Jack są parą. To jest jeszcze zbyt świeże, ale gdy przypomniała sobie, jak wczoraj kochali się na plaży, nie mogła opanować dreszczu rozkoszy. I pragnienia, żeby to powtórzyć.

Ale na razie lepiej o tym związku nie mówić, lepiej nie narażać się na ciekawskie spojrzenia współpracowników i pacjentów. Oznajmienie o zerwaniu zaręczyn to jedno, ale wiadomość, że jest z kimś innym, mogłaby oznaczać, że zmienia facetów jak rękawiczki!

No i przede wszystkim pozostaje jeszcze kwestia jej rodziców. Ciekawe, jak oni przyjmą wiadomość, że zesłała się z mężczyzną, który, o czym są przekonani, unieszczęśliwił ją przed laty? Trzeba się nad tym zastanowić i znaleźć jakieś dobre rozwiązanie.

W recepcji Sharon i Joyce przeglądały przy porannej kawie katalog biura podróży.

- Cześć, dziewczyny - powiedziała radośnie. – Ja też się z wami napiję - dodała, sięgając po filiżankę.

- Nie chcę cię martwić - Joyce zaczęła ponuro - ale dziś będziesz miała prawdziwe urwanie głowy z tłumem dzieciaków na szczepienie, a potem ty i Jack macie jeszcze jechać na zebranie dla lekarzy rodzinnych.

Tak jak się obawiała, w przedszkolu, do którego chodzi Charlie Fleming, stwierdzono kilka przypadków odry, więc rodzice przyjdą dziś z dziećmi na szczepienie.

- Z dziećmi dam sobie radę, na pewno nie będzie tak źle. Jeśli Sula nie będzie mogła mi pomóc, poproszę Jacka, żeby wykroił sobie dla nich godzinę czy dwie. A to zebranie mamy dopiero późnym popołudniem. Myślicie o wakacjach? - spytała, zerkając na broszurę.

- Strasznie bym chciała wyskoczyć w jakieś fajne miejsce i próbuję na to też namówić Joyce. W końcu nie każdy urlop musi spędzać u kuzynki w Glasgow. Ty to masz dobrze, niedługo jedziesz w podróż poślubną. Ciekawa jestem, dokąd się wybieracie?

Sally wstrzymała oddech. Ma teraz znakomitą sposobność, by im powiedzieć o zerwaniu zaręczyn.

- Wiecie co, dziewczyny, muszę wam coś zakomunikować. Może szkoda, że tego nie zrobiłam wcześniej. A więc chodzi o to, że jakiś czas temu postanowiliśmy z Timem przemyśleć nasze sprawy i w rezultacie zdecydowaliśmy się zerwać zaręczyny.

To je zamurowało i dopiero po chwili Sharon zdołała wydusić:

- To znaczy nie będzie wesela? Czyli nie włożymy ciuchów, które sprawiłyśmy sobie specjalnie na tę okazję?

- Tylko to ci w głowie, do ciężkiej cholery? - warknęła na nią Joyce. - Tak mi przykro, kochana. - Objęła Sally ze współczuciem. - Wyobrażam sobie, jak jest ci ciężko. Zauważyłam, że ostatnio byłaś mizerna, choć dziś wyglądasz już o wiele lepiej. Ale skoro okazało się, że Tim nie jest odpowiednim kandydatem na męża, może to i lepiej, że tak się stało.

Joyce naprawdę ma złote serce, pomyślała Sally.

- Mówiąc szczerze, po tej decyzji oboje poczuliśmy ulgę. Tim zamierza się ożenić ze swoją sekretarką, a ja też absolutnie nie rozpaczam z powodu zerwania. Rozstaliśmy się w przyjaźni.

- Wiesz co, Sally - powiedziała Sharon – kiedy tak patrzę na ciebie, jakoś czuję, że i tak włożę niedługo tę kieckę na twoje wesele.

- Może powinnaś dorabiać jako wróżka - zażartowała Sally, żeby ukryć zmieszanie.

W gabinecie postawiła kawę na biurku, powiesiła zakiet na oparciu krzesła i podśpiewując wesoło, włączyła komputer.

Zbliżała się przerwa na lunch, poranne przyjęcia dobiegły końca. Jack połknął dwie tabletki aspiryny i popił je szklanką wody. Rozmyślenia nad związkiem z

Sally i niepokój, czy ona z nim zerwie, gdy zastanowi się nad tym, z czego jej się zwierzył, przyprawiły go o pulsujący ból głowy.

Jak na okrutną ironię, męczące go wątpliwości spotęgowała Nesta Grahame, ostatnia pacjentka, którą przyjął przed południem. Nesta nie zdawała sobie sprawy, że wywoła w nim falę koszmarnych wspomnień.

Parę minut przed dwunastą Sharon wprowadziła do jego gabinetu kobietę w zaawansowanej ciąży, mizerną i biednie ubraną. Pomogła jej usiąść, po czym wyjaśniła:

- To jest Nesta Grahame. Zasnęła na ulicy, przyprowadzili ją do nas przechodnie. Chociaż mówi, że już się dobrze czuje, Joyce uznała, że powinien ją zobaczyć lekarz.

- I bardzo słusznie - odparł Jack, uśmiechając się ciepło.

Ona prawdopodobnie cierpi na anemię, pomyślał. Ziemista cera, sucha skóra, zaczerwienienia wokół oczu, spękane paznokcie - wszystko to wskazuje na niedobór żelaza w organizmie. Mógłbym się założyć, że w ciąży nigdy nie była na kontroli lekarskiej.

- Po prostu trochę zakreśliło mi się w głowie. Ale nie ma o czym mówić, bo już mi przeszło. Nie wiem, czy pan zauważył, że jestem w ciąży?

- Oczywiście, że tak. Chciałbym jednak panią zbadać, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Jeśli pani pozwoli, zmierzę pani ciśnienie, pobiorę mocz do analizy i sprawdzę, jak jest ułożone dziecko.

- Nie ma mowy! Nie życzę sobie żadnych badań. Ale jeżeli to nie problem, poprosiłabym o szklanekę wody.

- Podejrzewam, że ma pani anemię. Mogę pani przepisać żelazo w tabletkach, ale wolałbym najpierw zrobić analizę krwi. To nie będzie bolało, wystarczy mi dosłownie parę kropli.

- Nie, dziękuję. - Nesta niemal zerwała się z krzesła. - Nic mi nie jest. Poproszę tylko o te tabletki...

Kobieta zachwiała się, dotknęła dłonią czoła i zaczęła osuwać się na podłogę. Jack, który błyskawicznie do niej podbiegł, zdążył ją podtrzymać, by się nie poturbowała, po czym zdołał ją unieść do pozycji siedzącej i nisko pochylić jej głowę.

Kiedy po chwili rozpiął jej mankiety i zaczął podwijać rękawy bluzki, westchnął wstrząśnięty. Przedramiona Nesty były całe w siniakach, od żółtych po niemal granatowe.

Miał wrażenie, że cofa się w czasie. Gdy jako mały chłopiec podbiegł do matki, by się przytulić, zobaczył jej posiniaczone ręce. I nigdy nie zapomni, jak matka skuliła się z bólu, gdy ich dotknął. Nesta nie zgodziła się na badanie, bo nie chciała pokazywać tych siniaków.

Kubek gorącej słodkiej herbaty przywrócił jej siły.

- Chciałbym, żeby zgłosiła się pani na oddział ginekologiczny w szpitalu - powiedział, wypisując jej skierowanie. - Jestem pewien, że z dzieckiem jest w wszystko w porządku, ale należy przeprowadzić badania. Położy się tam pani na dwa, trzy dni i przy okazji dojdzie do siebie. Każdemu należy się odrobina odpoczynku.

Na moment zawiesił głos, po czym dodał cicho:

- Jest pani bardzo posiniaczona. Ciekaw jestem, skąd się wzięły te obrażenia?

Spoglądał na nią bardzo łagodnie, ale ona nerwowo odwróciła wzrok i zagryzła usta.

- Kirk nie chciał mi zrobić krzywdy - odrzekła po chwili. - Stracił pracę i dlatego pije za dużo. To przez to picie. Wpada wtedy w złość... Mówi, że mu działam na nerwy i nic na to nie poradzi.

- Domyślam się, że Kirk jest pani partnerem?

- Nie, on jest moim mężem - odparła z dumą. - I nie zostawię go ani nie złożę na niego skargi. Jest bardzo dobry, kiedy nie pije. Ale pan tego nie zrozumie. To nie jego wina, że...

Świetnie to sobie wyobrażam, Jack pomyślał z wściekłością. Jego matka też powtarzała jak mantrę, że to nie wina ojca, gdy jest agresywny. To nie jego wina, że bije ją i dzieci i że im niszczy życie. Ta kobieta jest taka sama i też pozwoli sobie zmarnować życie, skoro nie chce odejść od męża ani poprosić o pomoc.

Kiedy Nesta wyszła ze skierowaniem z jego gabinetu, Jack stanął przy oknie. Zobaczył ją za chwilę: nieszczęsna kobieta wolno szła na przystanek autobusowy. Jest i będzie ofiarą przemocy, ofiarą będzie także jej dziecko.

Przybity usiadł za biurkiem. Ta historia nie jest niczym niezwykłym, takich kobiet jest mnóstwo, a on bardzo im współczuje. Ale akurat dzisiaj historia tej pacjentki nabrała dla niego szczególnego znaczenia. Bo kto wie, czy Sally nie doszła jednak do wniosku, że nie chce być z synem pijaka i mordercy. Albo czy nie będzie żałować, że się z nim związała i przy byle sprzeczce dopatrywać się w nim podobieństw do jego ojca?

Kto wie, czy nie miał racji, kiedy jej powiedział, że nie jest odpowiednim materiałem na męża? Tęsknił do niej i pragnął jej przez sześć lat rozłąki, ale teraz, gdy za sprawą losu znowu się spotkali, wszystko potoczyło się w zawrotnym tempie. Nie umiał się jej oprzeć, nie umiał zapanować nad pożądaniem. Nie potrafił tego przemyśleć, nie zdobył się na rozsądek.

Matka powiedziała mu, że jest zdrajcą, który się sprzeniewierzył swym najbliższym. Chociaż wiedział, że z racjonalnego punktu widzenia postąpił właściwie, ponieważ kochał matkę, czuł się współodpowiedzialny za rozpad rodziny. Takie nieuzasadnione poczucie winy jest typowe dla dzieci alkoholików. Nie umieją się od niego wyzwolić. A teraz, mimo że nie zdołał się uwolnić od tych problemów, uznał bezmyślnie, że mogą z Sally wszystko zacząć od nowa. Tak, to było bezmyślne, bo nie sposób przewyciężyć przeszłości.

Popołudniowe spotkanie lekarzy rodzinnych poświęcone wymianie informacji ze szpitalami i wydziałami zdrowia było długie i nudne. Sally bezskutecznie próbowała się skoncentrować.

Rozmarzona wracała myślami do cudownych chwil spędzonych z Jackiem poprzedniego dnia. Trudno uwierzyć, jak wiele się wydarzyło w ciągu zaledwie jednej doby, powtarzała w duchu.

Ale czuła też leciutką zadrę. Była bowiem przekonana, że na to zebranie, które odbywało się w miejscu odległym o pół godziny drogi samochodem od Cranoch, pojedą razem. Przed południem nie mieli chwili, by zamienić z sobą słowo, ale potem Jack powiadomił ją mejlem, by nie czekała na niego, bo on trochę się spóźni, i wspomniał, że po spotkaniu wybiera się do brata. Bardzo by chciała po-

znać Liama, więc zrobiło się jej trochę przykro, że nie zaproponował jej, by z nim pojechała.

Spojrzała na Jacka, który siedział daleko od niej, bo nie zauważył, że zajęła dla niego miejsce koło siebie. Biedak, wyglądał na bardzo zmęczonego. Czyżby tak go wyczerpał seks na plaży? - pomyślała, nie mogąc powstrzymać uśmiechu. Chciała do niego pomachać, ale on nie szukał jej wzrokiem.

Gdy wreszcie zebranie dobiegło końca, a wszyscy zaczęli podnosić się z miejsc, zebrała notatki i ruszyła w jego stronę. Chciała go namówić, by przed wyprawą do brata poszli gdzieś na herbatę.

- O mój Boże, kogo ja widzę! Sally, nie widziałyśmy się całe wieki.

Na widok niewysokiej jasnowłosej kobiety, która ją złapała za rękę, Sally zawołała radośnie:

- Lorna Sanders! Co za miła niespodzianka! Rzeczywiście, czas leci i aż trudno uwierzyć, że od naszego stażu w szpitalu minęło sześć lat.

- To były czasy! - rzekła Lorna z uśmiechem. – Ale niech na ciebie popatrzę. Jak ty to robisz, że się w ogóle nie zmieniasz? Fantastycznie wyglądasz. Żeby nie wiem co, zabieram cię do kawiarni. Musimy poplotkować, a praca nie zajac.

- Prawdę mówiąc, miałam właśnie...

Sally zaczęła szukać wzrokiem Jacka, ale on najwyraźniej zniknął. Na pewno spieszy się do brata, pomyślała zawiedziona, ale szkoda, że się nie pożegnał.

Z uśmiechem popatrzyła na Lornę.

Bardzo się lubiły, Lorna była zawsze bardzo pogodna i koleżeńska, choć uwielbiała plotki. Ich drogi niestety się rozeszły, bo po stażu Lorna wyjechała do Londynu.

Teraz zaciągnęła ją do przytulnej kafejki, gdzie usiadły przy oknie.

- Wiesz co, Sally, musimy uczcić nasze spotkanie kieliszkiem wina.
- Masz absolutną rację. Urwały się nam kontakty i byłam przekonana, że pracujesz w Londynie.
- Przenieśliśmy się tutaj po ślubie. Razem z moim mężem Ronem, który pochodzi z tych stron, otworzyliśmy gabinet jakieś piętnaście kilometrów stąd. Bardzo mi się tu podoba, odpoczywam od wielkiego miasta. Cudownie, że mieszkamy prawie po sąsiedzku i mam nadzieję, że będziemy się widywać. Ale ja gadam i gadam, więc powiedz mi lepiej, co u ciebie? - ciągnęła. - Mam nadzieję, że po wyjeździe tego palanta, Jacka McLennana, szybko doszłaś do siebie. Swoją drogą, co to za kretyn!

Lorna zawsze była bardzo bezpośrednia, pomyślała Sally.

- Trochę to trwało, ale jakoś się pozbierałam.
- Wiedziałam, że tak będzie, ty masz w sobie tyle życia. Koniec końców dla ciebie to lepiej, że się rozstaliście. Ale muszę przyznać, że ja też się dałam na niego nabrać. Myślałam, że to fantastyczny facet i że będziecie świetną parą.
- Wiesz, to wszystko nie było takie proste... - Sally zaczęła ostrożnie. Skoro jej samej jeszcze trudno jest w to uwierzyć, nie powie Lornie, że się zeszli z Jackiem. - On, podobnie jak ty, wrócił do Szkocji, i dziwnym zrządzeniem losu zatrudnił się w moim gabinecie.

- Coś podobnego! Ale uważaj, żeby nie zawrócił ci w głowie. Od tego cholernego przystojniaczka trzymaj się jak najdalej, bo on tylko bawi się w podboje.

- Wiesz, jednak Jack miał pewien powód, żeby ze mną zerwać.

- Pamiętam, mówiłaś o tym. Ale ja nie wierzę, że jemu naprawdę chodziło wyłącznie o to, żeby się skoncentrować na karierze. Moim zdaniem to był pretekst. Związał do Australii, bo panicznie bał się zobowiązań. To częste u facetów, bywają czarujący, ale są tchórzami.

Sally otworzyła usta, by wyjaśnić Lornie, dlaczego Jack ją zostawił, ale się zrelektowała. To nie ma sensu, pomyślała, ona i tak wie swoje, więc jej nie przekona.

- Uwierz mi, Sally, tacy faceci się nie zmieniają. Jack zawsze będzie zwiewał przed zobowiązaniami. Ale szkoda o nim gadać, lepiej wypijmy za nasze spotkanie.

W drodze powrotnej Sally nie bez pewnej irytacji rozmyślała o tym, co usłyszała od Lorny.

Przecież koleżanka nie ma zielonego pojęcia, dlaczego Jack wyjechał do Australii. I myli się, sądząc, że on zawsze będzie uciekał przed zobowiązaniami. Wrócili do siebie i zawsze będą razem.

Na widok samochodu Jacka zaparkowanego przed przychodnią szybciej zabiło jej serce. Za chwilę go zobaczy, pomyślała z radosnym podnieceniem.

Wspomnienie wczorajszej randki na plaży przyprawiło ją o dreszcz rozkoszy. Kochali się z pasją i czułością, Jack szeptał jej, że jest miłością jego życia. Zatrzasnęła drzwi samochodu i pobiegła prosto do jego gabinetu.

- Jack, nie mogłam się doczekać, żeby cię zobaczyć. Chciałam cię złapać po zebraniu, ale zniknąłeś. Widziałeś się z bratem?

Stał tyłem do okna i gdy powoli się do niej odwrócił, z niepokojem dostrzegła, że ma podkrążone oczy i jest dziwnie blady.

- Dobrze się czujesz? Wyglądasz na bardzo zmęczonego...

Przez chwilę spoglądał na nią oczami błyszczącymi radością, ale nagle jego wzrok zmatowiał, a rysy stężały.

- Sally... Przepraszam, że nie czekałem na ciebie, ale bardzo mi zależało, żeby złapać Liama.

- Nic nie szkodzi, świetnie to rozumiem. Martwi mnie tylko, że tak źle wyglądasz. Ale mam pomysł. Może odzyskasz siły, jak zrobię ci coś pysznego na kolację.

- Wielkie dzięki, ale nie dziś. Muszę zrobić porządek w komputerze i zadzwonić do paru osób.

- Wieczór jest długi, załatw te sprawy, a my możemy zobaczyć się później. Przecież i tak musisz coś zjeść.

- Sally, usiądź, proszę, chciałbym z tobą zamienić parę słów.

- To mi zabrzmiało groźnie - zażartowała. – Czy coś zrobiłam nie tak?

- Ależ skąd! Co też ci przychodzi do głowy. – Na chwilę zawiesił głos. - Rzecz w tym, że od wczoraj nieustannie myślę o nas.

- Ja też - odparła wesoło.

- Pozwól, że powiem ci, o co chodzi, kochanie. Nie bardzo wiem, jak to ująć, żebyś mnie zrozumiała właściwie. Ostatnie dwadzieścia cztery godziny wydają mi się snem...

- To chyba dobrze, nie sądzisz?

- Chcę tylko powiedzieć, że to wszystko potoczyło się bardzo szybko, może za szybko. Czy nie uważasz, że potrzebujemy trochę czasu, żeby się zastanowić nad przyszłością?

Zesztywniała, czując, że oblewa ją zimny pot.

- Co ty chcesz powiedzieć, do jasnej cholery? - wyszeptała. - Wyduś to wreszcie z siebie.

- Sally, kochanie - zaczął, biorąc ją za rękę - z trudem przechodzi mi to przez gardło, ale boję się, że nie przemyślałaś konsekwencji, jakie niesie dla ciebie nasz związek. Jestem synem pijaka i zabójcy, a do tego zdradziłem własnego ojca. Nie mogę oczekiwać od ciebie, żebyś nie brała tego pod uwagę.

- To nie ma dla mnie znaczenia, Jack.

- Tak ci się wydaje w tej chwili, ale zrozum, ja do tej pory nie zdołałem się z tym uporać. Po tylu latach to mnie wciąż prześladowuje. Uważam, że nie powinienem przyjmować propozycji pracy w twoim gabinecie. Wiedziałem, czym to grozi. Wiedziałem, że po sześciu latach wciąż cię pragnę. Myślę, że wiążąc się z tobą, bardzo bym cię skrzywdził. Po co ci człowiek z tak straszliwym bagażem życiowym? Powinnaś wyjść za mąż za kogoś, kto nie ma moich obciążeń. Za kogoś z normalnego środowiska, z rodziny, w której nie było patologii.

Sally zerwała się na równe nogi.

- Problem polega na tym, że ty po prostu nie chcesz się wiązać. Boisz się bliskości i zobowiązań. Boisz się, że musiałbyś się otworzyć i zmierzyć z przeszłością. To dlatego uciekasz przed związkami i nie chcesz założyć rodziny.

- Mylisz się, bardzo chciałbym założyć rodzinę, ale...

- Ale co? Boisz się? A może ty po prostu lubisz podboje? - Przypomniała sobie słowa Lorny. - Przeleciałeś mnie, ale jak przychodzi do zobowiązań, zwiewasz i będziesz się uganiał za kolejną zdobyczą! Na tym polega cała prawda - dokończyła łamiącym się głosem.

- Mylisz się, absolutnie nie uganiam się za spódniczkami. Prawda, jak ci powiedziałem, polega na tym, że nie nadaję się do życia w szczęśliwym związku. Moja matka miała rację. Nie potrafiła mi wybaczyć, że rozbiłem naszą rodzinę. I nie chcę tego powtarzać, nie chcę ci łamać życia. Zrozum to, kochanie. Za kilka dni, kiedy to sobie przemyślisz, sama dojdiesz do wniosku, że zgotowałem ci straszny los. Zdradziłem rodziców i z tego powodu do tej pory żyję z poczuciem winy.

Popatrzyła na niego z rozpaczą. Jak miałyby go przekonać, że jego przeszłość nie ma dla niej znaczenia? I że wyłącznie mu współczuje.

- Więc zrywasz ze mną po raz drugi?

- Wiem, że muszę ci pozwolić, żebyś się ode mnie uwolniła - odparł cicho. - Myślę, że kiedy ci powiedziałem, że powinienem odejść z tej pracy, miałem rację. Nie mogę być blisko, bo nie umiem zabić w sobie miłości do ciebie. Jak tylko znajdziesz sobie kogoś, kto mnie zastąpi, zniknę.

Przez chwilę patrzyła na niego w milczeniu, nie mogąc pohamować łez. Ale w końcu zdołała zapanować nad sobą i powiedziała z namysłem:

- Jack, już raz zламаłeś mi serce, ale jeśli uważasz, że musisz mnie zostawić po raz drugi, do niczego nie będę cię zmuszać. Myślałam jednak, że się kochamy, a ty w końcu mi zaufałeś i uwierzyłeś, że razem będziemy w stanie przeżyć przeszłość. To wszystko.

Gdy cicho zamknęła za sobą drzwi, usiadł za biurkiem i ukrył twarz w dłoniach. I co ty, do cholery, zrobiłeś? Kochasz ją i nigdy nie przestałeś jej kochać. Ale ten paniczny strach, że ciąży na tobie cień twojego ojca, sprawia, że boisz się, by nie złamać jej życia.

Nie możesz pozwolić, by dwoje zakochanych ludzi znieawidziło się tak, jak znieawidzili się twoi rodzice.

THUR

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Sally wpatrywała się w sufit, nie mogąc usnąć. Nie, to niemożliwe, to przekracza ludzkie pojęcie. Mężczyzna, którego kocha, rzucił ją po raz drugi.

Ostatni tydzień był dla niej straszny. Pracowali drzwi w drzwi, mijali się na korytarzu, musieli porozumiewać się w sprawach służbowych, a ona pragnęła jedynie, by ją objął. Nie, musi z tym skończyć, musi to w sobie jakoś zdusić. Przecież ten facet, z takich czy innych powodów, już jej nie chce.

- Ona mówi, że z narzeczoną rozstali się bez bólu - Sharon powiedziała do Suli, nie wiedząc, że Sally to słyszy. - Jednak widać gołym okiem, że to nieprawda. I do tego jeszcze odreagowuje to wszystko na biednym Jacku!

Ale w przyszłym tygodniu na jego miejsce przyjdzie inny lekarz, a Jack stąd odejdzie... na zawsze. Wtuliła twarz w poduszkę, próbując zahamować łzy. Dopiero nad ranem zapadła w niespokojny sen, lecz nazajutrz obudziła się zmęczona.

Była sobota, w południe zaczynało się święto szkoły dla niepełnosprawnych dzieci, a ona przyrzekła łanowi, że przyjdzie. Może zresztą dobrze jej to zrobi,

pogoda jest ładna, oderwie się od swoich problemów, spotka jakichś znajomych, a Ian Kershaw na pewno ucieszy się na jej widok.

Na boisku szkolnym uczniowie wraz z rodzicami zapraszali do gier fantowych i sprawnościowych, sprzedawali pamiątkowe kotyliony i wypieki, organizowali konkursy. Sally zaczął się udzielać radosny entuzjizm dzieciaków. W oczekiwaniu na uroczyste otwarcie obchodów, które miała poprowadzić Careena Fairfax, usiadła na jednym z krzeseł rozstawionych dla publiczności na trawniku.

Wokół niej narastał wesoły gwar, w oddali grała szkolna orkiestra. Zmęczona bezsennymi nocami oparła się wygodnie, przymknęła powieki i po chwili zapadła w drzemkę. Gdy ktoś mocno potrząsnął ją za ramię, gwałtownie otworzyła oczy, pytając półprzytomnie:

- Co się stało...?
- Sally, obudź się, potrzebny jest lekarz!
- Sharon, nie wiedziałam, że tu jesteś. Co się stało?
- W namiocie, gdzie jest bufet, zaczęła rodzić kobieta!

Ostatni raz odbierałam poród kilka lat temu, w sterylnych warunkach, z pomocą akuszerki, Sally pomyślała w popłochu, zrywając się na równe nogi.

- Wezwaliście karetkę?
- Tak, ale to potrwa, zanim tu dotrą, bo główna droga jest dziś zamknięta z powodu jakichś robót, więc muszą korzystać z objazdów.

Jak pech to pech, pomyślała Sally i, biegnąc do namiotu, sięgnęła po komórkę. Trudno, ale dla dobra tej kobiety i jej dziecka musi go wezwać. Jest jedynym lekarzem w pobliżu i może przywieźć sprzęt.

- Tak, słucham - po kilku sygnałach dobiegł ją wreszcie jego głos.

- Jack, jak najszybciej przyjedź do szkoły dla dzieci niepełnosprawnych. Kobieta zaczęła rodzić, karetka nie może dojechać i...

- Zaraz będę - przerwał jej spokojnie, po czym, zapewne słysząc napięcie w jej głosie, dodał uspokajająco: - I nie martw się, przywiozę wszystko, co trzeba.

Bogu dzięki, pomyślała z ulgą, jesteś tu bardzo potrzebny.

Dziewczyna leżąca w namiocie na kocach i poduszkach rozłożonych na ziemi jęczała z bólu. Klęczały przy niej dwie kobiety, jedna z nich trzymała dziewczynę za rękę.

- Chwała Bogu, że udało się tu panią ściągnąć! - powiedziała druga z nich na widok Sally. - Nie bardzo wiedziałyśmy, co robić. Wszystko będzie dobrze, jest lekarz - zwróciła się do rodzącej, delikatnie głaszcząc jej policzek.

Dziewczyna jest bardzo mizerna, pomyślała Sally.

- Czy mogłyby panie przynieść wrzątek, czyste ścierki i papierowe ręczniki? - poprosiła, klękając przy dziewczynie.

Odgarnęła jej włosy z czoła i unosząc jej delikatnie rękę w przegubie, zmierzyła tętno.

- Proszę się niczym nie martwić, zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy, żeby pani pomóc. Za chwilę przyjedzie tu też drugi lekarz. Proszę mi powiedzieć, jak się pani nazywa?

- Nesta... Nesta Grahame...

Zaaferowana, nie usłyszała, że Jack stanął za jej plecami.

- Ktoś się tu bardzo spieszy na świat – powiedział pogodnie.

- Dzięki, że przyjechałeś tak szybko. Sądząc po sile i częstotliwości skurczów, nastąpiło pełne rozwarcie. Pozwól, że ci przedstawię, to jest pani...

- Nesta - Jack wszedł jej w słowo. - Pani Nesta Grahame, o ile dobrze pamiętam. Gdy kilka dni temu była pani u nas w gabinecie, skierowałem panią do szpitala. Nie chcieli tam pani zatrzymać?

- Chcieli, ale wyszłam na własne żądanie - odparła z wysiłkiem. - Zadawali mi mnóstwo głupich pytań. I teraz tego żałuję. - Popatrzyła na niego z bólem i strachem. - Boję się komplikacji...

- Zareczam, że nie będzie żadnych komplikacji, jest pani w dobrych rękach. - Jack uśmiechnął się do niej z otuchą. - Z doktor Lawson pracujemy od lat i jesteśmy świetnie zgrani. Prawda, Sally?

- Oczywiście, że tak. I do tego mamy ogromne doświadczenie w odbieraniu porodów.

- O Boże, ja tego nie wytrzymam - jęczała Nesta, chwytając Sally za rękę. - Strasznie mnie boli. Boję się, że dzieje się ze mną coś złego...

- Niestety, to musi boleć, ale proszę mi wierzyć, wszystko będzie dobrze. Jak często występują skurcze? - zwrócił się do Sally.

- Co dwie minuty.

- A więc dzidzius niedługo przyjdzie na świat. Teraz doktor Lawson zmierzy dziecku tętno - powie- dział, podając Sally detektor dopplerowski - a ja zobacze, czy widać jego główkę.

- Tętno prawidłowe i miarowe - Sally powiedziała po chwili. - Proszę posłuchać - dodała, przystawiając Nescie głośniczek do ucha.

- To jest serce dziecka? - spytała dziewczyna, uśmiechając się z trudem. - Bije tak szybko, jak- by... - nie dokończyła, bo zabrakło jej tchu. - O Boże! - jęknęła po chwili. - Czuję, że już ze mnie wychodzi. Co mam robić? - wykrztusiła z przerażeniem.

- Ma pani rację, dziecko jest w drodze – odparł Jack uspokajająco. - Widzę jego główkę. Ułożenie jest prawidłowe, wszystko będzie w najlepszym porządku. Spróbujemy mu trochę ułatwić tę podróż. Kiedy poproszę, żeby pani parla, proszę to robić z całej siły, kiedy powiem przerwa, proszę oddychać głęboko.

- Nie dam rady, proszę mi jakoś pomóc!

Sally podłożyła dziewczynie przyniesione ręczniki i biorąc ją za rękę, powiedziała:

- Jest pani bardzo dzielna, proszę się tylko skupić na tym, co mówi doktor McLennan. Jeszcze trochę, to nie potrwa długo.

I rzeczywiście, po jakichś pięciu minutach Jack trzymał na rękach noworodka, a gdy sekundę później rozległ się jego głośny płacz, kobiety stojące przy wejściu do namiotu ze łzami w oczach rzuciły się sobie w ramiona.

- Gratulacje, Nesto! Ma pani zdrowego i ślicznego synka - oznajmił Jack ze wzruszeniem.

Sally sięgnęła do jego torby lekarskiej po nożyczki, by odciąć i podwiązać pępowinę. Kątem oka zerknęła na Jacka, a widząc uśmiech radości na jego twarzy, odpowiedziała mu uśmiechem. W takiej chwili nasze sprawy prywatne schodzą na drugi plan, pomyślała. Ważne, że Nesta urodziła zdrowego chłopczyka, a myśmy trochę jej w tym dopomogli.

Jack owinał maleństwo w ręcznik i ostrożnie podał je młodej matce. Nesta z uśmiechem szczęścia i dumy dotknęła policzka małego.

- Proszę się nie niepokoić - powiedziała po chwili cicho, spoglądając na Jacka.
- Nie dam go skrzywdzić. Nikomu i nigdy. Znajdę jakieś rozwiązanie.

Z oddali dobiegł sygnał nadjeżdżającej karetki i po chwili u wejścia do namiotu stanęli dwaj ratownicy.

- Jaka faza porodu? - zapytał jeden z nich. – Jak się czuje pacjentka?
- Bardzo dobrze - odparł Jack z uśmiechem. – Jej śliczny synek jakoś nie chciał na was czekać.

Gdy Nesta z dzieckiem odjechali karetką, Jack i Sally przez chwilę spoglądali na siebie w milczeniu.

- Poszło nam całkiem nieźle - rzekła w końcu Sally. - Dzięki, że przyjechałeś. Nie wiem, czy dałybyśmy sobie radę bez ciebie.
- Świetnie byście sobie dały radę, ale cieszę się, że mogłem na coś się przydać.
- Mówiłeś, że Nesta była u nas w gabinecie?

- Tak, zasłabła na ulicy i ktoś ją przyprowadził do nas. Nie ma łatwego życia, bije ją mąż. Martwiłem się, że podobny los czeka jej dziecko, ale po tym, co dziś od niej usłyszałem, czuję się spokojniejszy. Obroni synka, wyczułem w niej absolutną determinację.

Znów zapadło milczenia, a Sally ze wzrokiem wbitym w ziemię za wszelką cenę próbowała opanować łzy. To okrutne, on stoi ode mnie na wyciągnięcie ręki, a ja wiem, że między nami wszystko skończone, bo on uważa, że musimy się rozstać dla mojego dobra.

- Jeszcze raz ci dziękuję.

- Nie ma za co. Nie po raz pierwszy pracowaliśmy razem.

Oboje zdawali sobie sprawę, że wypowiadają frazesy. Jack nagle poczuł nieprzepatą chęć, by dotknąć jej policzka, ona słyszała jego oddech i wdychała delikatny zapach wody po goleniu.

- Sally, szkoda, że... - zaczął, ale zawiesił głos, jakby się bał, by nie powiedzieć czegoś, czego będzie później żałował. - Cieszę się, że znów mieliśmy okazję wspólnie pracować i że los sprawił nam na koniec miłą niespodziankę.

Kiedy na odchodnym musnął wargami jej policzek, przez moment czuła bijące od niego ciepło. Z walącym sercem dotknęła dłonią miejsca, gdzie ją pocałował. Miła niespodzianka na koniec? Nie dla mnie, pomyślała z rozpaczą i poczuciem pustki. Ich związek dobiegł końca, dla nich dwojga nie ma już nadziei.

Jack wrzucił do bagażnika torbę lekarską i wsiadł do auta, lecz nie ruszał. Sally powoli wyszła z namiotu i przystanąła oślepią blaskiem słońca. Patrzył na nią

ze ściśniętym sercem. Dlaczego spotkał ją taki los? Dlaczego pokochała go tak szalenie?

Ich romans dobiegł kresu, za tydzień pożegna się z nią na zawsze. Włączył silnik i odjechał na pełnym gazie, zbieleńcami z wysiłku dłońmi trzymając mocno kierownicę. Szczęście było na wyciągnięcie ręki, pomyślał z goryczą. Między nimi znowu wybuchło uczucie, ale on bał się, że ją unieszczęśliwi.

Ale dlaczego? Dlaczego, do diabła, to robi? Dlaczego odbiera sobie i jej szansę na szczęście? Dlaczego pozwala, żeby dawne przeżycia na zawsze ją przekreśliły?

„Znajdę jakieś rozwiązanie”, w głowie huczały mu słowa Nesty. Może i on powinien pójść za jej przykładem, uwierzyć, że związek z Sally ma przyszłość, że razem zdołają wszystko przezwyciężyć.

I nagle zrozumiał, jakim jest idiotą. Do ciężkiej cholery, on i Sally mają tylko jedno życie, więc skoro się kochają, czemu mają spędzić je bez siebie?

Pogrążony w myślach dopiero teraz zdał sobie sprawę, że przejechał prawie dwadzieścia kilometrów. Rzucając przekleństwo pod nosem, zerknął w lusterko i gwałtownie zawrócił. Odnajdzie ją i powie, że popełnił największy błąd swego życia.

Po zakończeniu festynu Sally nie miała ochoty wracać do pustego domu, więc postanowiła przejść się na pobliskie wzgórze. Chciała w spokoju zastanowić się nad przyszłością. Idąc polną drogą, uświadomiła sobie, jak bardzo kocha tejsze krajobrazy. W tych okolicach byłoby z Jackiem szczęśliwi. Ale widać nie jest to jej pisane, szczęście zawsze wymyka jej się z rąk.

Minęła małą wioskę i doszła do malowniczej, wijącej się meandrami rzeczki. Gałęzie starych wierzb porastających jej brzegi sięgały wody, cisza tego zakątka podziałała na nią kojąco. Oparła się o pień i przymknęła oczy. Kocham Jacka, ale skoro poprzednio jakoś przeżyłam rozstanie, tym razem też się podniosę.

Gdy z zadumy wyrwał ją szelest łamanej gałązki, odwróciła głowę, ale patrząc pod słońce, nie poznała go w pierwszej chwili.

- Sally, jesteś, Bogu dzięki.
- Jak mnie odnalazłeś? I po co?
- W wiosce powiedzieli mi, że poszłaś nad rzeczkę. Musimy porozmawiać.
- Coś się stało? - spytała z niepokojem.
- Można to tak ująć. Po prostu zrozumiałem, jaki ze mnie idiota. Miałem szczęście w zasięgu ręki, ale za wszelką cenę chciałem je zburzyć.
- Jeśli po raz kolejny chcesz się schodzić, mówię ci kategorycznie: nie ma mowy!
- Nic dziwnego, że mi nie dowierzasz, ale zrozum, wreszcie do mnie dotarło, że mamy tylko jedno życie i nie możemy odrzucać szczęścia. Kocham cię, jesteś dla mnie wszystkim. Niech moją przeszłość i jej demony raz na zawsze trafi szlag.
- Przestań, nie zaczynaj tej śpiewki. Ja naprawdę już nie mam na to siły. Współczuję ci z całego serca z powodu twojej przeszłości...

- No właśnie, to przeszłość - powiedział, kładąc jej rękę na ramionach. - Nie chcę do niej wracać, postanowiłem raz na zawsze z nią skończyć. Chcę patrzeć w przyszłość, być z tobą, mieć z tobą dzieci, zapomnieć o dawnych sprawach. Kocham cię i wierzę, że ty też mimo wszystko mnie kochasz. Sally, kochanie, błagam cię, daj mi jeszcze jedną szansę!

Patrzył jej w oczy z desperacją, jakby rozpaczliwie szukał w nich potwierdzenia, że ona wciąż go kocha. Gdy objął ją i przyciągnął ku sobie, nie stawiała oporu.

- Ja chyba postradałam zmysły – powiedziała wreszcie - ale dam ci tę szansę, bo ja też cię kocham.

Przez chwilę patrzył na nią w milczeniu, po czym ukrył twarz w jej włosach.

- Aż trudno mi uwierzyć, że jesteś gotowa mnie przyjąć z całym moim bagażem...

- Nie zauważyłaś jeszcze - roześmiała się nieoczekiwanie - że ja lubię ambitne wyzwania...

Namiętny pocałunek nie pozwolił dokończyć tego zdania. Już po chwili leżeli na trawie, a on w szaleńczym porywie pożądania rozbierał ją, pieszcząc jej całe ciało.

- Masz tego całkiem sporo - powiedziała, pomagając mu pakować książki do kartonu.

- Nie narzekaj, przecież ustaliliśmy, że mnie przyjmujesz z dobrodziejstwem inwentarza!

- Dobra, dobra, ale skoro biorę cię pod mój dach, muszę cię uprzedzić, że z tym wszystkim będzie nam dosyć ciasno.

- Jakoś to zniosę, bo co ja mam biedny zrobić? Mieszkać oddzielnie, bez mojej żony? Jakoś to mi się nie uśmiecha.

Kiedy Jack powiedział „moja żona”, Sally oblała się rumieńcem radości. Jutro mieli wziąć cichy ślub w małym kościółku na Hersie. Nikt o tym nie wiedział oprócz jej rodziców i przyjaciela Jacka.

Po tych wszystkich dramatycznych zwrotach w ich związku uznali, że nie będą robić hucznej uroczystości. Na razie niech to będzie ich tajemnica.

Sally popatrzyła na Jacka przez sekundę, po czym zabrała się do pakowania papierów i teczek do drugiego pudła.

- Jack, tu są jakieś listy - powiedziała, pokazując mu koperty spięte gumką. - Czy chcesz je przejrzeć?

- Sam nie wiem, należą do przeszłości – odparł z westchnieniem. - Może raczej powinienem je wyrzucić.

- Ale dlaczego?

- To są listy od mojej matki, które wysłała do Australii. Nigdy ich nie otworzyłem. Kto wie, może trzeba było to zrobić, ale teraz i tak jest za późno. A poza tym nie mam siły czytać jej oskarżeń i pretensji, że doprowadziłem do rozpadu rodziny.

- Uważam, że powinieneś przeczytać te listy, Jack - stwierdziła cicho, patrząc na dwie lekko spłowiałe koperty. - Jeśli je wyrzucisz, nie wiedząc, co ci miała do powiedzenia, będziesz potem tego żałował.

- Niezależnie od tego, co w nich napisała, nie zmieni to faktu, że dla niej ważniejszy ode mnie był mój zapijaczony ojciec. To było bardzo niesprawiedliwe. Ogromnie ją kochałem, ale nie chcę czytać, jak go tłumaczy i broni.

Sally usiadła przy nim i położyła mu listy na kolanach.

- Jack, bardzo cię proszę, powinieneś dać jej szansę, bo w tych listach chciała jakoś przemówić do ciebie.

W milczeniu spojrzął na koperty, po krótkim wahaniu otworzył je i zabrał się do lektury. Po przeczytaniu odłożył je do pudła i siadł z twarzą ukrytą w dłoniach.

- Powiedz mi, kochanie, to takie bolesne?

Jack zerwał się gwałtownie i zacisnąwszy pięści, podszedł do okna. Przez chwilę patrzył na morze, zachmurzone niebo nad Hersą i mały prom płynący na wyspę.

- Dzięki tobie na szczęście się przemogłem, żeby przeczytać te listy. Matka pisze w nich, że bardzo mnie kocha i że nie obarcza mnie winą za rozpad rodziny. Za to, że tolerowała u ojca picie i nie potrafiła zapobiec przemocy, wini wyłącznie siebie. Mówi też wprost, że powinienem spróbować jakoś się od tego wszystkiego wyzwolić.

- Jack, wiedziałam, że ona nie mogła cię znienawidzić. I chyba wiem, dlaczego ci powiedziała, że nie chce cię więcej widzieć. Ona po prostu uważała, że, trzymając się od niej jak najdalej, łatwiej zapomnisz o tragedii rodzinnej.

- Moja biedna nieszczęsna matka – powiedział niemal szeptem. - Dlaczego nie odeszła od ojca? Dlaczego została z nim i zrujnowała sobie życie?
 - Wiesz, czasem to jest straszliwie trudne, czasem kobiety sądzą, że zostały skazane na taki los i muszą cierpieć. Może twoja mama nie wierzyła, że rozwód byłby właściwym wyjściem, a może po prostu nie miała gdzie odejść.
 - Być może... W każdym razie, gdyby nie ty, nie poznałbym prawdy o matce i osądzałbym ją niesprawiedliwie.
 - Odnoszę wrażenie - powiedziała z uśmiechem - że dostałeś wyjątkowo cenny prezent z okazji ślubu. I tak to powinieneś traktować.
 - Masz absolutną rację! Ten prezent sprawił, że dokonał się cud, jej listy uwolniły mnie od straszliwego ciężaru. Po przeczytaniu, że matka mnie kochała i nie winiła o zdradę, kamień spadł mi z serca.
- Sally z trudem pohamowała łzy szczęścia napływające jej do oczu. Wreszcie został odnaleziony ostatni element tej układanki, pomyślała wzruszona.
- Kochanie, przez sześć lat próbowałem żyć bez ciebie i wiem, że to były stracone lata, które trzeba nadrobić.
 - I już niczego przede mną nie ukrywasz?
 - Nie, przed tobą nie mam żadnych tajemnic.

Gdy nazajutrz wracali promem z Hersy, w spokojnym jak tafla morzu odbijały się wieczorne gwiazdy.

- Popatrz, kochanie, czy ten świat nie jest piękny? - szepnął, trzymając ją mocno w objęciach.

- Cały dzisiejszy dzień wydaje mi się tak cudowną bajką, że nie mam jeszcze ochoty wracać do codzienności - odparła rozmarzona.

- Mam nadzieję, że może nasza codzienność nie będzie monotonna i szara.

Gdy na nabrzeżu wsiedli do auta, a Jack zamiast do miasteczka ruszył szosą wijącą się serpentynami w górę, zdziwiona spytała:

- Zabierasz mnie na przejażdżkę?

- Chciałbym ci coś pokazać. Kto wie, może ci się to spodoba?

- Myślałam, że nie będziemy mieli przed sobą żadnych sekretów.

- To nie jest sekret, tylko mała niespodzianka w prezencie ślubnym.

- Chcesz mi dać tutaj ślubny prezent?

Jack bez słowa skinął głową, pokonując kolejny zakręt.

- Przecież to jest droga do „Ostoi”. Błagam cię, nie mów mi, że Hilda Brown akurat dziś poczuła się gorzej...

Zatrzymali się na podjeździe, a gdy Jack szybko wysiadł, by otworzyć przed nią drzwi samochodu, spojrzała na niego z niepokojem.

- Proszę cię, niczego przede mną nie ukrywaj. Czy stało się coś złego?

- To jest, kochanie, ten prezent ślubny - odparł, sięgając do kieszeni po klucze.

- Chcesz powiedzieć, że...

- Gdy „Ostoja” została wystawiona na sprzedaż, spytałem Hildę, czy zgodziłaby się, żebyśmy to my kupili jej dom. Odpowiedziała, że byłaby wręcz zachwycona. Bardzo chciała, żeby trafił w nasze ręce. A poza tym tu znajdzie się miejsce dla moich książek... I co ty na to?

- Proszę cię, Jack, powiedz mi, że to nie jest sen - szepnęła, patrząc na niego rozpromieniona. – Nie ma piękniejszego miejsca na świecie!

- A nas czeka tu wiele długich i szczęśliwych lat - powiedział, biorąc Sally na ręce, by ją wnieść przez próg do ich nowego domu.

*Kolejne książki z serii Harlequin Medical
ukazą się 29 czerwca i 13 lipca*